Nr. 42. Warszawa, dnia 7 (19) Października 1895 r. Rok XV.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)

W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8 z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2. k. 50, rocznie rs. 10.

Adres: Żórawia Nr. 34.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.

Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.

Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

PO ZWYCIĘZTWIE.

Angielskie telegramy nie skłamały: gen. Duchesne rzeczywiście wtargnął do stolicy Madagaskaru, ale stało się to dopiero d. 30 września. Przedtem stoczył z howajami walkę, dowodzącą przynajmniej jakiejkolwiek energii woli i zbiorowego instynktu zachowawczego. Po pierwszem niepowodzeniu królowa przysłała parlamentarza. Wojsko jej opuściło Tananarywę, a myśl i skłoniła się do pokoju. Duchesne miał akcik już w zanadrzu, wyjął go i podał do podpisania. Tego samego dnia stanął traktat.

Walczono jeszcze wówczas, ale daleko od stolicy, na pobrzeżu. Admirał, dowodzący flotą, z obawy o Duchesne'a, aby mu howaje w Farafatra obwarowani odwrotu nie odcięli, w ostatniej już chwili namyślił się i uderzył na nich. Malajczycy bronili się jeszcze, kiedy nadeszła wiadomość o wtargnięciu francuzów do stolicy; wtedy Farafatrę poddali. Tak się skończyła pięciomiesięczna przygoda wojenna na Madagaskarze — z wielu względów ciekawa; pod jednym dla francuzów nieosobliwa: oto ich wewnętrzna gospodarka wojskowa przez ćwierć wieku jeszcze się wywikłać nie zdołała ze smutnego stanu, w jakim ją oglądał „rok straszny."

Co teraz zrobi Francya z Madagaskarem? Co już dotychczas wymogła na Ranawalonie i co, raz wszedłszy do cudzej zagrody, wyrobi w niej sobie własną potęgą, trudem, rozumem i szczęściem? W instrukcyach, rok temu, o tej samej porze, danych p. Le Myre de Vilers, znajdowało się wyraźne żądanie: monopolu stosunków dyplomatycznych, eskorty zbrojnej dla rezydenta, w Tananarywo, prawo do własności ziemskiej i wszelkiej swobody ruchów dla osadników i podróżników francuskich, uregulowania granic około Diego Suarez, zaprowadzenia porządku, zapewniającego spokój i bezpieczeństwo itd.

Wszystkie te żądania teraz karabin zamienił na prawo protektoratu, opieki twardej, wykonywanej we własnym interesie protektora. Francuzi poobsadzają ważniejsze punkty, trzymać będą okręty przy brzegach, eskortę w Tananarywo zamienią w załogę. Pretensyę do protektoratu miała Francya już dawno. Uważała ją za dobre swe prawo, gdy w układach z Niemcami i z Anglią w r. 1890 warowała sobie swobodę i nietykalność. Odtąd będzie Madagaskar pod rzeczywistą już władzą, jak Tunetania, a z powodu swej wątłej budowy społeczno-politycznej — w krótkim czasie dostanie się na etat Annamu i Tonkinu.

Królowa Ranawalona może jeszcze umrze na tronie — śmiercią spokojną; ale już jej następca jest wielce zagadkowym. Imoryną, tj. tą częścią Madagaskaru, na którą rozciąga się jej panowanie, rządzić będzie rezydent francuski, stopniowo wkładając malajów do jarzma. Jednocześnie oręż i chciwość kolonizacyjna tak w północnej, już rozkrajanej, części wyspy, jak i na południu, będą szerzyły potęgę i cywilizacyę francuską. Kiedyś, kiedyś, będzie jeszcze z Madagaskaru Francya w Afryce. Teraz już tylko jaka wojna nieszczęśliwa może z rąk protektorki wyrwać wielką krainę, mającą przeszło 10,000 mil kwadr. powierzchni, a tak tanio, tak bajecznie tanio nabytą.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Na burzę zaniosło się w Turcyi. Mordy w Konstantynopolu, a po nich krwawe zajścia w Trapezuncie, Rodosto i Antyochii, rozpoczęły ruch, który wydaje się ogólnym, wrzącym we wszystkich umysłach staro-tureckich, fanatycznych. W Akhissar turcy znowu wyrznęli chrześcian, głównie armeńczyków. Krew samym widokiem swoim zaraża; gdy się raz poleje — a poleje bezkarnie dla sprawców, zachętę raczej znajdujących, tam gdzie powinni spotkać karę: nic już krwiożerczości nie wstrzyma. Upadający Islam w niej swoją indywidualność i energię objawia: tem gorzej dla niego, im objaw ten będzie silniejszym.

W sprawie armeńskiej ambasadorowie działający odbyli naradę z Saidem, z Kiamilem, wielkim wezyrem, a ambasador angielski, Currie, dostąpił zaszczytu posłuchania u sułtana, który już nareszcie przejrzał, że niepodobna nic dla Armenii nie zrobić.

Kiamilowi wskazują już następcę w osobie Dżewada baszy, wojskowego. Stronnictwo młodej Turcyi ma się już ruszać, żądając czegoś, coby przypominało konstytucyę midhatowską. Ale czy takie stronnictwo istnieje? Pewniejsze jest rozpanoszenie się fanatyzmu, wraz ze staroturectwem politycznem i zbawczą władzą sułtana.

Z pogróżek Angli, że flotę swoją wprowadzi przez Dardanele pod Stambuł, nikt sobie nic nie robi, z wyjątkiem łatwowiernych dziennikarzy. W bujnej tylko ich imaginacyi mogła się zrodzić zapowiedź nawet floty włoskiej na wodach Bosforu. Sułtan czuje się bezpiecznym pod tarczą zawiści europejskich. Posyła torpedowce do zakładania min w Dardanelach; uzbraja nawet jakby angielską już prawie zatokę Bezika naprost Tenedos. Na pograniczach macedońskich pocichu gromadzą się coraz większe oddziały wojsk tureckich — na co Austrya odpowiada wzmacnianiem załóg w Bośnii i Hercegowinie. Zamordowanie kilku greków w Trapezuncie obudziło czujność patryotów w Atenach. Zaczyna się tu wrzenie, wspierane nowem niezadowoleniem Krety.

Po wszystkich wątpliwościach, nieporządkach i ostatecznych obawach — Duchesne dotarł nareszcie do stolicy howajów d. 30 września.

Włosi spędzili Rasa Manganę z Antolo w północnej Abisynii i wyparowali tygrańczyków z Debra-Ailat. Negus Menelik nie śpieszy się z pomocą.

Na Kubie Macco, trzy razy już uśmiercany przez telegrafistów rządowych, zbił sromotnie generała hiszpanskiego, Navara. Powstanie szerzy się ciągle i mężniej.

Ks. Łobanow-Rostowskij w powrocie z Paryża przybył d. 12 b. m. do Berlina, a nazajutrz był gościem ces. Wilhelma w Hubertusstocku. Kanclerz Hohenlohe odbywał z ministrem narady, okazuje mu niesłychaną uprzejmość i wydał wielki obiad dyplomatyczny dla tak znakomitego gościa.

Cesarza austryackiego, który jako król węgierski wraz z ministrami przybył d. 14 b. m. do Zagrzebia na otwarcie teatru narodowego, spotkała przyjemność—bójek ulicznych o chorągwie serbskie czy chorwackie, chorwackie czy węgierskie. Dobre uczczenie króla. Ministrowie ciężko zawinili, nie zbadawszy gruntu.

LITERATURA I SZTUKA.

NOWY PRĄD W POWIEŚCIOPISARSTWIE.

Dogorywa już i wkrótce przejdzie do przeszłości wiek XIX. Może więc będzie na dobie przyjrzeć mu się uważniej, jak też wygląda w utworach utalentowanych autorów — jakie ideały, jakie typy, jakie objawy społeczne zwracają na siebie uwagę znakomitych jego powieściopisarzy?

W chwili obecnej zapanowała reakcya przeciwko chłodnemu rozumowi i nauce, którym się przeciwstawia gorące uczucie i wiara. Na ten objaw znamienny dla naszych stosunków zwrócił uwagę znakomity znawca naszej literatury, p. Chmielowski, w swej cennej pracy: *Zarys najnowszej literatury polskiej*. W tem miejscu chcielibyśmy wskazać pokrewne objawy w ostatnich utworach Bourgeta, Daudeta, Zoli, hr. Tołstoja i Sienkiewicza.

W *Kosmopolisie* Bourgeta widzimy ludzi używających świata — epikurejczyków. Kółko to składa się z cyganeryi inteligentnej, zbiegłej z różnych stron do starożytnego Rzymu.

Pstra mieszanina żywiołów narodowościowych, towarzyskich, społecznych, ma jeden tylko cel życia — flirt. Nie będziemy tu powtarzali treści utworu, gdyż najciekawszą dla nas jest jego myśl przewodnia.

Gdy zrozpaczony bohater wylewa swoje żale przed starym gwardzistą papieskim, w których ubolewa nad stratą swojej ukochanej, nad próżnią i nędzą życia — ten mu wskazuje poważną, powiewną, przejrzystą postać Leona XIII, rozmawiającego z ogrodnikiem w parku watykańskim.

W *Małej parafii* Daudeta widzimy typ kobiety z silnym charakterem, egoistycznej, samowładnej, niezależnej. Pani Fenigau trzyma w ręku syna, synowę i cały dom. Traktuje ich zgóry i staje się z tego powodu początkową przyczyną oziębienia, a następnie zupełnego zerwania stosunku pomiędzy młodem małżeństwem. Synowa, znudzona jednostajnem życiem wiejskiem pod ciągłym dozorem matki, a także towarzystwem męża, który obawia się mamy, jak dzieciak, ucieka z młodziutkim księciem. Mama Fenigau, oburzona ucieczką synowej, mści się na synie i służbie. Zagniewana i rozżalona na cały świat, przypadkiem wchodzi do kościoła wtedy, gdy ksiądz odmawia „Pater noster." Pod wpływem tych słów klęka z pokorą, przebacza wszystkim wszystko! Jedzie do opuszczonej przez kochanka synowej, znajduje ją ranioną, po niedoszłym zamachu samobójczym, otacza ją czułością macierzyńską i uzdrowioną oddaje napowrót synowi. Zdradzony małżonek nie może odrazu pogodzić się z żoną, więc cierpi bardzo. Wśród tych walk i rozmyślań spotyka kolatora małej parafii, który mu tłomaczy, że tylko pod sklepieniem wiejskiego kościołka może znaleźć ukojenie wszelkich trosk życiowych.

W *Lourdes* Zoli widzimy gromady pątników, złożone z najrozmaitszych warstw społecznych, pędzone jednem potężnem uczuciem religijnem do cudownej groty. Widzimy tu arystokratę i prostego wyrobnika, włościanina i wykształconego światowca. Cały ten tłum zbolały, znękany spieszy z nadzieją i piosnką pobożną do stóp tej, która uzdrowi i oswobodzi od nędzy, choroby i smutków tego świata. Jaźń zbiorowa pielgrzymów, odmalowana przez artystę świetnie, pozwala nam dojrzeć w niej drgania każdego atomu. Kto stanowi główny zastęp tych pobożnych? Nieuleczalni. Jakież wrażenie wywołała ta pielgrzymka w umyśle badacza, który zdołał się oprzeć fali uczuć jaźni zbiorowej? Podpatrzył on pewne charakterystyczne objawy. Żaden z pątników nie prosi o przyszłe szczęście i pomyślność *w niebie*, ale o ulgę w cierpieniach i powodzenie na tej nędznej okruszynie wszechświata... *ziemi*.

Leon Tołstoj oddawna miał szczególne upodobanie do zagadnień metafizycznych. Ślady tego kierunku, który uwydatnia się stopniowo, można dopatrzeć w *Wojnie i pokoju*. Z początku były to tylko tu i owdzie rzucane refleksye na temat: o duszy, nieśmiertelności, religii. Dumania te wypełniają już całe karty w *Annie Kareninie*. W późniejszych dziełach autor coraz głębiej grzęźnie w mistycyzmie. Następują: *Sonata Kreuzera*, tom 12-ty i cały szereg utworów, zaczynających się i kończących cytatami z Pisma św. W dziełach tych panuje wyłącznie dydaktyzm, a powieściopisarz występuje w roli katechety. Tołstoj wskazuje nam ułomności natury ludzkiej, grzech i jego skutki. Ostatecznie sędziwy autor każe nam wzorować swe życie według słów apostoła Pawła, który powiada: „Kto dawa zamąż, dobrze czyni, kto nie dawa, *lepiej* czyni." Piorunuje na całą dzisiejszą cywilizacyę i naukę, a w opowiadaniu *Moja spowiedź* uznaje swoją działalność autorską, z poprzedniego okresu, za chybioną, niepotrzebną, a nawet szkodliwą.

Sienkiewicz ma dużo wspólnego w swoich utworach z Tołstojem. Zastrzegając sobie prawo uzasadnienia tego poglądu w przyszłości szczegółowo, teraz wskażę tylko niektóre rysy podobieństwa fizyognomii artystycznej.

Płoszowski w *Bez dogmatu* filozofuje trochę o duszy, życiu zagrobowem, moralności, wierze. W *Rodzinie Połanieckich* mamy tych medytacyj bez porównania więcej. Nareszcie w *Quo vadis* widzimy św. Piotra, pierwszych chrześcian, którzy modlą się, płaczą i myślą tylko o zbawieniu duszy. Przeciętny czytelnik, gdy pochłonie wyżej wspomniane powieści, pomyśli zapewne, że wiek XIX, ten stary grzesznik, czując bliski zgon, jak większość śmiertelnych, myśli więcej o swojej grzesznej duszy i chce pogodzić się z Bogiem przed śmiercią. Przywdział staruszek włosienicę pokutniczą, wziął kostur do ręki i drobnym truchtem depcze do Kanossy.

Czy tak jest w rzeczywistości? Czy prąd ten ma nas cieszyć, czy smucić? Pytania te bez kwestyi powstają w umysłach ogółu

LAURA MARHOLM.

KSIĘGA KOBIET.*)

1) *Tragedya młodego dziewczęcia.*

I.

Bardzo rzadko się to zdarza, iżby z głębin samotności, w jakiej rozgrywa się najwewnętrzniejsze życie indywidualne, wyjrzała jakaś wiadomość szczera. Najrzadszą bywa taka wiadomość ze sfery wewnętrznego życia kobiet. Jeśli nieczęsto się trafia, aby kobieta pozostawiła zapiski o własnych swoich dziejach, to wypadki, w którychby owe zapiski posiadały wartość psychologiczną, mniej jeszcze bywają częste. Zwykle wprowadzają one tylko w błąd. Kobieta nie zwierza się, jak mężczyzna, w pragnieniu jasnego rozpoznania swojej jaźni; nawet kobiecie wybitnej, która jest zjawiskiem rzadkiem, nie zależy na samopoznaniu; nie znałam jeszcze kobiety, któraby—dla złych lub dobrych pobudek — nie chciała pozostać dla siebie samej *terra incognita*, zabezpieczając sobie tym sposobem instynktowość postępków, którąby przez analizę została zniszczoną. I jeszcze rzecz jedna podsyca tę niechęć. Kobieta ma bez porównania mniejsze od mężczyzny życie wewnętrzne. Jest ona zupełnie uzewnętrzniona w popędach, potrzebach, interesach: otrzymuje wszystko z zewnątrz. Mężczyzna nosi w sobie to, czem jest: kobieta jest zawieszonem nad próżnią puzderkiem, które dopiero mężczyzna wypełnić może. Nic nie wie o sobie, nic — o nim, nic — o wielkiej, milczącej niezmienności życia; głębie wszechrzeczy objawiają jej się dopiero w przygodzie z mężczyzną. Lecz jest w kobietach naszego czasu — a częstokroć w najlepszych — pragnienie obejścia się bez mężczyzny. I one, którym niezmienna natura przeznaczyła być naczyniem, skąd wyrośnie treść, chcą być samą treścią, z której nic jednak wyrosnąć nie może, boć treść owa, służąca im do wypełnienia próżni, jest obcą, nieorganiczną, rozumową. Tragizm, tkwiący w tej pomyłce, nie jest wielki, ale beznadziejny, próżny, trawiący — tę próżnię swoją udziela kobiecie, która stała się jego ofiarą a udziela ją tem więcej, im więcej dany osobnik jest kobietą i im więcej twórczych posiada zdolności. Pod jarzmem tej próżni kobieta usycha. A jednak nieprzezwyciężony popęd ciągnie ją ku próżni, mężczyzna zaś pozostaje dla niej wewnętrznie i zewnętrznie tak obcym, jak gdyby był stworzeniem z innej planety. Skąd ten butwiejący punkt w samym ośrodku życia kobiety? W szeregu wielkich kobiet, jakie w książce tej opisać usiłuję, niema ani jednej, w którejby nie był stale lub czasowo. Lecz niema też wśród nich ani jednej, dla którejby najgłębszą męką nie była świadomość, że jest. Skądże wziął się do tych kobiet, o istocie tak niezwykle bogatej, o naturach tak twórczych? Byłżeby ten przegniły punkt właśnie punktem przełomu między tem, co jest stare, a tem, co nowe? Może nietylko w samej tkwi kobiecie? Może i w mężczyźnie coś ma odpowiadać? Później do tego powrócę.

Pomiędzy książkami, napisanemi przez kobiety o sobie, znam tylko dwie, które posiadają całą bezpośrednią świeżość chwilowego nastroju, a wskutek tego odznaczają się niepodobną do osiągnięcia w innym wypadku prawdziwością: pamiętnik M-rs Carlyle i dziennik Maryi Baszkircew. Pod względem treści są obie te książki w przeważnej części wybuchem rozpaczy dwu kobiet, które czują, że są pozbawione wolności, związane, krzywdzone, okradzione z życia, a nie wiedzą, jakim się to właściwie stało sposobem i kogo winić o to mają? Zgorzkniała i bardzo popędliwa pani Carlyle nie chciałaby oskarżać tego, kogo jednak pośrednio wciąż oskarża, nie chciałaby winić owego przykrego

*) Przełożyła z upoważnienia autorki Malwina Posner-Garfein.

myślącego. Postaramy się, w miarę naszych sił, odpowiedzieć na nie, ale uprzednio chcielibyśmy zwrócić uwagę czytelnika na jeden szczegół, charakteryzujący ostatnie dzieła mistrzów pióra. Czem zapełniają swoje życie osoby, działające na arenie powieściowej? Co robią ludzie w *Kosmopolisie?* Bawią się, malują i flirtują. *W małej parafii* widzimy męża zdradzonego, uwiedzioną żonę i uwodziciela-kochanka. Flirt kwitnie w pałacu Fenigauów i w chatce leśnika. Po za tem nie widzimy nic.

W *Lourdes* wszyscy modlą się i... kochają.

W *Sonacie Kreuzera* znowu tradycyjna trójka: mąż, żona i kochanek.

H. Sienkiewicz w *Rodzinie Połanieckich* przedstawił nam szereg typów, skreślonych znakomicie z nieporównaną plastyką. Jest to galerya obrazów żywych. Ale jaka myśl przewodnia tej powieści? Zwracamy uwagę na tę kwestyę dlatego, że pewna część naszej prasy każe nam widzieć w każdej większej powieści Sienkiewicza dzieło „programowe.“ A zatem Stach Połaniecki, to współczesny Pan Podstoli. Przyjrzyjmy się ideałowi autora. Niestety, pasowano tu na rycerza najzwyczajniejszego filistra, robigrosza, który wygłasza program przystępny dla ogółu, jasny i zrozumiały: trzeba zbierać pieniędzy dużo, kupować zadłużone folwarki, kochać własną żonę a nie romansować z cudzą, nawet wtedy, gdy małżonka, wskutek spodziewanego macierzyństwa, brzydnie i traci posągową piękność kształtów klasycznych.

Ależ tego można dowiedzieć się w pierwszym lepszym katechizmie — odpowie mi czytelnik słowami tegoż Stacha. Zgadzam się, ale wtedy nie mielibyśmy cioci Broniczowej, naszej Maryni, Lola marynowanego w spirytusie i tylu innych niepospolitych typów, nie czytalibyśmy opisu, jak wygląda Leon XIII, gdy się ukazuje wiernym, słowem, nie mielibyśmy *Rodziny Połanieckich.* Wiem, że zwolennicy sztuki *czystej* zaprotestują. Gotowi nawet zarzucić, że chciałbym głosić ideje hr. Tołstoja z *Sonaty.* Nie lekceważę wcale miłości, jak i wszelkich innych uczuć. Niedorzecznością bowiem byłoby wymagać od powieści, dramatu, komedyi, żeby pomijała miłość, która jest osią główną każdego utworu; ale chodzi mi o to, że najgorętsza miłość osobista nie może w obecnym okresie naszego rozwoju zapełnić nam życia całkowicie, że oprócz tego uczucia mamy tysiące wrażeń innych, również potężnych. Nikt chyba już nie będzie spierał się o to, że należy dbać o środki do życia, kochać żonę, wychowywać dziecko, ale troska o byt powszedni nie powinna w nas tłumić dążności do celów szerszych, ogólniejszych, wyższych. Oprócz obowiązków rodzinnych mamy obowiązki społeczne, narodowe, zawodowe i inne, o których, niestety, coraz bardziej zapominamy.

Miłość wiecznych ideałów prawdy, piękna i sprawiedliwości, powinna wypełnić życie każdego uczciwego i rozumnego człowieka. Żyjemy w okresie rozmaitych walk: politycznych, społecznych, ekonomicznych. W tym chaosie pojęć, przekonań, zasad, czynów, możemy dostrzedz całe zastępy działaczów uczciwych i nikczemnych, zasługujących na uznanie lub potępienie.

Więc nietylko kwilenia miłosnego egotyzmu zapełniają życie ludzkie.

Niestety, umysły powieściopisarzów, zasklepionych w ciasnem kółku wrażeń swego najbliższego otoczenia, ruchu tak potężnego nie widzą i nie rozumieją. Uderzyła ich tylko zewnętrzna, dekoracyjna strona prądu. Zajrzeć doń w głąb nie chcieli, czy nie umieli — nie wiem.

Zastosować do nich można prześliczne słowa znakamitej poetki.

> Ludy się kędyś prą falą mętną,
> Szumem ich wzbiera dziejowe tętno,
> Nad żaglem trzeszczą maszty przegnilie,
> To tylko żyje, co żyć ma siłę...
> A nam tymczasem młynek na strudze
> Obraca plewy swoje i cudze,..
> Górą mielizny! Na głębiach giną.

Gdzież będziemy szukać wskazówek i wyjaśnień dla zrozumienia tego prądu, który, jak widzimy, bardzo powierzchownie odzwierciedlił się w powieści współczesnej?

(D. n.)

Al. Janiszewski.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Z ANGLII I O ANGLII.

Wpływ *boom'u* na politykę. — Polityka kolonizacyjna dziś i w przyszłości. — Ostatnia zmiana ustawodawcza. — Przesilenie w ruchu zawodowym. — Zjazd stowarzyszeń kooperacyjnych. — British Association.

Przypływ fal reakcyjnych, który podmywał szańce liberalizmu angielskiego, ustąpił już miejsca nieuniknionemu uspokojeniu się burzliwych żywiołów zmiennej opinii publicznej. Zachowawczość zadowoliła się efektami, jakie wywołała szalejąca burza, i dziś zabiera się już do naprawienia tych psot, które sama wyrządziła. Wchodzimy, jednem słowem, w epokę gospodarki mniej więcej liberalnej, prowadzonej przy odgłosach fanfary toryssowskiej — zupełnie tak samo, jak za czasów Palmerstona Anglia była zachowawczą, pomimo że osłaniała się sztandarem, utkanym hasłami wolnomyślnemi. To też nie dziw, że „na dziś“ — jak się wyraża minister Balfour — cła opiekuńcze, bimetalizm, ograniczenie imigracyi itp., zeszły z porządku dziennego. Łzy rolników obcierane są szmatami coraz nowych akcyj, które wyrastają jak grzyby po deszczu, a utyskiwanie zagłusza szmer zadowolenia z rzadkiego rozmiarami swemi *boom'u* na giełdzie londyńskiej. Wyraz *boom* jest pochodzenia germańskiego (*bummen*), który przywędrował tu z Holandyi, gdy ta jeszcze swą flotą i handlem wszechświatowym imponowała dorabiającemu się John Bullowi. *Bummen* oznaczało dźwięczenie pustej beczki; naiwna — pomimo wszystkiego—giełda przyjęła więc wyraz *boom* do określenia wielkiego ruchu finansowego na giełdzie, po za którym wszak nieraz stoi pusta beczka. Zresztą, jak łódź z rozdętymi żaglami przecina morze i korzysta z wiatrów, tak i *boom* w handlu i przemyśle, pędzony okolicznościami sprzyjającemi, bądź co bądź, przebywa przestrzenie, zwycięża przeszkody i dopłynie do celu, jeśli go nie zdradzą dotychczas przychylne mu żywioły.

---

dziwaka, Tomasza Carlyle, który nie może być mężczyzną — kobiecie, ani mężem — żonie, a jest sobkiem, który wszystkiego żąda, nic w zamian nie dając. Lecz obok tej książki niezaspokojonej kobiety pokolenia starszego mamy o wiele dziwniejszą i trudniejszą do pojęcia książkę młodej, bogatej, pięknej, genialnej panny, należącej do pokolenia współczesnego, albowiem 33 lata miałaby dziś, gdyby żyła. Obie książki są wyznaniem *d'outre tombe.* Obie powstały z przyczyny u kobiet rzadkiej — z chęci *milczenia.* Pani Carlyle przez całe życie milczała wobec swego męża, który, ku bezgranicznemu zdumieniu swojemu, dowiedział się z tych kartek dopiero po jej śmierci, w jak małym ją uszczęśliwił stopniu. Marya Baszkircew milczała wobec zbyt czułej rodziny, z samych niewiast złożonej. Obie odznaczały się rzadką u kobiet siłą duszy: nie zwierzały się, nie posiadały ani przyjaciółek, ani zaufanych, miały dumę samotności; lecz to, czego dłużej w sobie tamować nie mogły — strony najlepsze i najgorsze — przelały w tę książkę: z duszy pani Carlyle trysnęło kilka wyciśniętych, gorzko-słodkawych kropli, z duszy Maryi Baszkircew popłynęły bystre, rozpienione fale, w chłonących wszystko wirach i kilku miejscach cichych, kędy układają się, niby piękne, przejrzyste jezioro, ponad którem smukłe wierzby głęboko gałęzie swoje zwieszają. Jedna jest kobietą, która wszakże nie uczuła, że stała się kobietą, dzięki mężczyźnie; druga jest młodem dziewczęciem — obie tedy mniej zajmują tem, co opowiadają, aniżeli tem, czego opowiedzieć nie umieją. I pod tym właśnie względem książka Maryi Baszkircew, pełna wymownego krążenia około nieznanej dziedziny, jest skarbem dla psychologii młodego dziewczęcia.

II.

Marya Baszkircew pochodziła z owych sfer towarzyskich, skąd w drugiej połowie naszego wieku wyłoniły się niemal wszystkie pionierki ruchu współczesnego. Sfera jej cieszyła się nawet niezwykłym szacunkiem. Małżeństwo między matką a ojcem jej nie było szczęśliwe. Po dwuletniem tylko pożyciu, wydawszy na świat dwoje dzieci, syna i córkę, matka opuściła męża i z maleńką Maryą powróciła do domu rodzicielskiego. Pieszczona, psuta przez dziadków, matkę, ciotkę, przez wychowawczynie, którym zawczasu wielu talentami i wybitną siłą woli imponowała, maleńka spędziła pierwszych dziesięć lat życia na wsi, u dziadków, w maju zaś 1870 r. cała rodzina, a więc: matka, ciotka, dziadek, Marya, braciszek jej i kuzynka, lekarz domowy i odpowiednia ilość służby wybrali się w podróż za granicę. Koczowali przez dwa lata, żyjąc w Wiedniu, Baden-Baden, Genewie, Paryżu, wreszcie osiedli w Nicy. I tu — w dwunastym roku — Marya Baszkircew rozpoczęła właściwe dzieło życia, dzieło, które pozostawiła, umierając w dwanaście lat później — tu więc rozpoczęła swój dziennik.

Pozostawiła inny jeszcze ślad życia. Przechowany jest w Muzeum luksemburskiem, w oddziale zakupionych przez państwo obrazów współczesnego pędzla. Kiedy wstępujesz do jednego z pokojów bocznych, uderza cię nagle obraz, robiący wrażenie tak niespodziane, jak szczekanie psów w okolicy wymarłej. Cała ta, przez państwo nagrodzona pilność, wisząca wokoło, wydaje się jeszcze bardziej martwą, bladą, wymuszoną — z jednego tylko zakątka wyziera kawał natury, brutalnej, zuchwałej, wielkiej, która przykuwa cię i przejmuje dreszczem. Cóż przedstawia ten obraz? Tylko paru uliczników, odbywających naradę, pod płotem, w ciężki, skwarny dzień letni. Znać w tem płótnie wpływ Bastiana Lepage'a, prawda! Jego jest to powietrze szare, ten upał bez słońca, lecz jest to też suche, rosyjskie powietrze wielkich przestrzeni z przymieszką jakiejś migotliwości, lekkości, suszy, których brak w wilgotniejszym krajobrazie francuskim. A i skądby Bastian Lepage wziął *takie* kontury, te z obojętną bezwzględnością rzucone linie, kanciaste, surowe, prawdziwe, ciśnięte przez genialną intuicyę z ręki na płótno. Jest to szmat pierwotnej, rosyjskiej natury, o przenikliwem, otwartem spojrzeniu dziecka. Twór-

Beczka wszakże, z której dziś lew brytański wydobywa dźwięki, nie jest wcale tak pustą: to Afryka południowa wraz z nowemi, tylko co założonemi koloniami na wschodzie i zachodzie tej czarnej, do niedawna zupełnie nieznanej części świata. Niemal każdy dzień przynosi nam wiadomość o narodzinach nowego towarzystwa, to kopalni złota, to handlowego, to wwozowego lub wywozowego. Obecnie mamy zapowiedź nowych przedsięwzięć: idzie o założenie sieci dróg żelaznych na ziemiach murzyńskich. Jednocześnie gorączka ogarnęła Australię i Kanadę, które pragną dla siebie armii awanturników, chciwych zysku. Dziwną zaiste sprężystość ma pogardzany kapitalizm, gdy włada nim silna i dziejowo urobiona rasa. Pół wieku temu Carlyle zapowiadał już śmierć rozkiełznanemu rumakowi, którego krew nazywa się parą; dziś tyle razy już powalony i przygnieciony kapitalizm angielski podnosi się pełen życia i gotowy do podbojów nowych. W dziejach ludzkości żadna forma spółżycia nie miała tyle zdolności do przystosowywania się, tyle elastyczności, co gospodarka mieszczańska. Nie uchrania ją to wprawdzie od prawa przeobrażania się w ciągłym rozwoju, od ewolucyi, ale zarazem wykazuje żywotne i stałe strony jej bytu, które przetrzymają jeszcze niejedną burzę.

Przeciwko gorączce kolonialnej zjawiły się wszakże dwie skargi. Rzecznikiem jednego protestu jest Khama z Bechuanalandu, „człowiek o wielkiem sercu," jak go nazywają jego czarni poddani—o wielkim rozumie, dodamy z naszej strony. Khama przybył do Anglii, aby u stóp przyszłej cesarzowej Afryki złożyć obok pokłonów ciężkie westchnienie skargi na apostolstwo cywilizacyjne. Użalał się on na samowolę wielkiego zaborcy XIX wieku, na Cecil Rhodesa, twórcy niemal angielskiej Afryki, skarży się na łupiestwo ziem i pastwisk, wreszcie na wódkę. W Afryce bowiem wrzekomi apostołowie cywilizacyi europejskiej zaczynają od zaznajamiania murzynów z napojem, zwanym „niger-killer" (zabijacz murzynów). Wódka ta jest podobno pochodzenia niemieckiego; być może, że gardziele w Prusiech i na Szlązku, często oblewano sznapsem z kartofli, mogłyby znieść i ten wytwór cywilizacyjny; w Afryce wszelako murzyni giną setkami i tysiącami, gdy im biały cywilizator podaje kielich z sakramentalnem „kochajmy się." Jeżeli cnotliwi germanowie wyrabiają „zabijacza," to szlachetni i powołujący się na tradycye rycerskości portugalczycy są głównymi dostawcami tego napoju, który brytańczyk, jako zwolennik liberalizmu i wolnego handlu, przyjmuje na skład przy odgłosie pieśni, orzekającej, że „brytańczyk nigdy niewolnikiem nie będzie." Dzięki tej stałej John Bulla wierności dla swobody, *niger-killer* zyskuje sobie klientelę wśród ucywilizowanych; po roku swobody dokonywa swego dzieła. Na wielkich przestrzeniach leśnych, na pastwiskach i po osadach, gdzie jeszcze niedawno rozwijał się krzew pierwotnego okresu cywilizacyjnego, bieleją tylko kości zamordowanych wódką, a ziemie z ich kopalniami i bogactwem stają się łupem bezpłatnym białych awanturników.

Tym skargom Khamy wtóruje echo z Afryki. Olive Schreiner, najzdolniejsza powieściopisarka angielska, wystąpiła z niezmiernie wymownem potępieniem panowania Rhodes'a. Nie ulega wątpliwości, że biali awanturnicy, którym on przewodził, nie stanowią wzorów cnoty i wstrzemięźliwości. Niemniej sądzimy, że tak zwani „demokraci," którzy występują przeciw samowoli „kapitalisty" Rhodes'a, są daleko straszniejszym i bardziej bezlitośnym „niger-killer'om," aniżeli wielkie stowarzyszenia akcyjne w pogoni za kością słoniową, za złotem, lub żądne zysków przy budowaniu dróg żelaznych. Szarańcza drobnych awanturników, tych — że się tak wyrazimy — kieszonkowych złodziei przemysłu, boerów - demokratów, którzy w *swojem* prawie do zdzierstwa widzą ognisko swobody, ta szarańcza najwięcej dopuszcza się zbrodni w koloniach. Ostatecznie rasa biała zdobywa wciąż nowe ziemie *dla siebie*, pchana do czynu samolubstwem; egoizm wszakże może być rozumnym lub nie, może być egoizmem jednej rasy i tem samem zdolnym do kompromisu przy starciu się z interesami innej, lub też żarłocznością jednostek oddzielnych. Samolubstwo europejskie nie żąda wcale zagłady czarnych; rozsądna polityka kolonialna dążyłaby raczej do rozwijania młodego krzewu cywilizacyi pierwotnej. Dopiero gdy rasa zrzeka się prawa na korzyść szajki swych wysłańców, powstaje ten system rabunku i mordu, który istniał w Ameryce i Australii i który istnieje dziś po części w Afryce. Państwa europejskie mogą zaś łatwiej dać sobie radę z kompaniami wielkiemi, aniżeli z rozatomizowanemi szajkami kolonistów, upominających się o samorząd, równoznaczny z upoważnieniem do „niger-killer'ostwa." Prawa podstawowe, których żądają boerzy i inni koloniści, są antyspołecznemi; w Afryce każde prawo białego równa się gwałtowi na tuziemcach, zbrodniczemu bezprawiu w stosunku do bezbronnych murzynów. Władza patryarchalna, którą Anglia zostawia w rękach Khamy w stosunku do murzynów, tylko wtedy spełni swe zadanie społeczne, gdy rząd Wielkiej Brytanii okiełzna kolonistów, którzy w Afryce nie mają żadnego z tych hamulców, jakie dzieje wyrobiły w ich własnej ojczyźnie.

I nietylko w dziedzinie ekonomicznej mamy smutne owoce dzisiejszej polityki kolonialnej, ale i na polu ogólnej kultury: oświaty i religii. Znaną jest siła finansowa angielskich stowarzyszeń misyjnych; jedno z nich obchodziło niedawno setną rocznicę swego apostolstwa. Jakiż rezultat? Oto wydano przeszło 6½ milionów funtów sterlingów, miano tysiące misyonarzy i... doczekano się niecałych 95 tysięcy nawróconych. Sprawozdanie wspomina wprawdzie o blizko 500,000 „adherentów," ale z nich 350,000 ma być w Madagaskarze, co już na bajkę zakrawa. W Chinach, bądź co bądź, *adherenci* misyi ostrzą noże na misyonarzy, a liczba chrześcian jest znikomą. Jeszcze gorzej wygląda oświata. Profesor Petrie zaznaczył, że nietylko murzyni, indyanie, ale i arabowie, nad którymi pracowali pedagodzy europejscy, zgłupieli i są niezdolni do rozwoju. Usychają oni, jak kwiat nożycami odcięty od łodygi. Oto są skutki, gdy gwałtem narzuca się plemionom i rasom kulturę im obcą. Sentymentalny syn Albionu chciałby przebrać murzynów w *respectable* dżentelmenów; jemu się zdaje, że nie masz zbawienia bez gazety angielskiej, bez mydła Pears i bez kazania anglikańskiego reveronda w niedzielę. I oto traci on miliony na apostolstwo cywilizacyjne; wtedy przychodzi demokratyczny handlarz z *niger-killer'em* i rozpoczyna się mord całych plemion. Inaczej poszłoby dzieło cywilizacyjne, gdyby komisarze rządowi śledzili warunki pracy, do której murzynów zaprzęgają biali, gdyby dbano o re-

---

czynią tego obrazu jest Marya Baszkircew.

A niepodal drzwi — portret. Młoda kobieta w futrze. Brwi gęste, nierówne, z pod których patrzy ci prosto w twarz para tatarskich oczu, o niezrozumiałem spojrzeniu.

Wśród wszystkich obrazów pędzla kobiecego nie znam drugiego, w którymby indywidualność, temperament, leżący po za ręką malującą, wyraził się tak wybitnie, tak całkowicie i szczerze. To, co dało nam owo prawie dziecko z najlepszego towarzystwa, jest zupełnie pierwotne, pozbawione niemal kultury w najlepszem i złem tego wyrazu znaczeniu, lecz są to pazury lwicy.

Młoda zaś dziewczyna, która oba te obrazy stworzyła, była damą—damą z wychowania, damą — świadomie i z własnej woli, damą — aż do szpiku kości, aż do głupoty; hołdowała modzie, nie tak, jak hołdują jej inteligentni młodzi ludzie — z napół ironicznym z siebie uśmiechem, lecz z głęboką powagą, nabożnie, w religijnej, rzekłbyś, ekstazie.

Wychowały ją panie: łagodna, ograniczona matka, niepozorna i kopciuszkowata ciotka, która poświęcanie się za powołanie swoje uważała, rządząca babka, dwie guwernantki — rosyanka i francuska — i „angielski" lekarz domowy, który wśród wszystkich tych kobiet pokaźnie, zdaje się, zniewieściał.

Doszedłszy do lat dwunastu, spostrzegła, że nauczycielki jej nieznośnie są głupie i że potrafią jedynie przyczynić się do tego, aby cenną młodość swoją straciła. Na to jednak nie miała czasu. Już w dwunastym roku budzi się w niej owo tempo „steeple-chase'u," w którem odtąd pędzi aż do końca krótkiego swego życia. Było w niej niezmierne pragnienie wszystkiego, wiedzy, życia, użycia i rozumienia. Całe jej otoczenie żyło w prawdziwie roślinnej bezczynności, mimo to, że dziadek był „byronistą." Z tem otoczeniem nic zrobić nie było można, nic odeń otrzymać. Dotychczasową nauczycielkę wypędziła i sama zajęła się swojem wychowaniem. Sporządzono listę, w której nie brakło żadnej gałęzi wiedzy. Nowoprzyjęty profesor oniemiał ze zdziwienia, następnie więcej zdziwiły go nieprawdopodobne postępy Maryi. Tylko do nauczycieli rysunków nie miała szczęścia wielka późniejsza malarka; nudzili ją, a owoców nie widziała żadnych.

Przytem żyje tłumnem życiem wewnętrznem. Kocha się tak gwałtownie, tak rozpaczliwie, tak szczerze, jak kobieta dojrzała. A ta trzynastoletnia dziewuszka nie jestże kobietą dojrzałą? Dojrzalszą, zupełniejszą, prawdziwszą od tej późniejszej, znużonej, połową sił żyjącej już tylko dwudziestotrzechletniej panny? Mężczyzna, którego kocha, bardzo dystyngowany anglik, kupił kochance swojej willę w Nicy i spędza z nią tutaj corocznie kilka miesięcy. Ta okoliczność nie wywołuje w Maryi, świadomej spraw światowych, a wcale nie mieszczańskiej, niemiłego wrażenia. Lecz cierpi niezmiernie z powodu innej rzeczy. Piękny, angielski książę, zbyt wielkim jest dla niej panem. Nietylko że teraz najmniejszej na nią nie zwraca uwagi, lecz i później nie będzie się nią tak dalece zajmował, żeby aż ją poślubić, jeżeli nie zostanie jednostką bardzo wybitną. Dlatego Marya Baszkircew chce zostać jednostką bardzo wybitną. Wielką śpiewaczką a zarazem wielką aktorką, której cały świat, a zatem i książę, do stóp się chyli, która wybierać może królewiczów krwi, a wybierze *jego*. Marzeniem tem żyje lat kilka, uczy się, czyta, płacze. Posiada piękny głos i niewątpliwy talent dramatyczny; lecz głos ten nie jest jeszcze ustalony, nauka zacząć się może dopiero za lat kilka. Sprowadza sobie mnóstwo książek, ponieważ jednak brak jej wszelkich wskazówek a znajomości jej nie wychodzą ani na włos po za kółko rodzinne i kolonię rodaków, przebywających za granicą, więc w studyach swoich zatrzymuje się wciąż na Dumasie ojcu, Balzaku, Feuilleecie, a nawet na takich łojówkach literatury, jak Ohert. Smak jej nie wykształca się, widnokrąg jej jest wtłoczony w granice rodzinne, wiedza jej jest pstrą mieszaniną starych zabobonów i najnowszych błyskotliwych pewników. (D. c. n.).

formę mieszkań, zdrowotność rasy i o zaznajamianie jej z rozwojem techniki naszej, z narzędziami pracy, które wszakże są tylko spotęgowaną siłą wytwórczą młota pierwotnego.

Czy się rząd Salisbury'ego zdobędzie na takie zmiany w polityce kolonialnej? W każdym razie nie dziś! Wobec *boom'u* wszystko znika. Zdawałoby się, że jesteśmy oszołomieni tu szczęściem, że tłuste krowy nietylko poprzedzać mogą chude, ale i następować po nich; to też wszyscy świętują *boom*, wszyscy czołem przed nim uderzają, a margrabia Salisbury staje się liberalnym. Gdy „Narodowo Stowarzyszenie rolnicze" przypomniało mu, że obiecywał opiekę rolnictwu, margrabia odpowiedział, że „dziś rząd i Izba nie wiele mogą zdziałać, bo nie są zdolne prowadzić opinii publicznej, jeno muszą się do niej zastosowywać, a opinia ta — dodaje przebiegle *leader* zachowawców — chce wolnego handlu"! *Boom* więc wytrącił margrabiemu berło z ręki i przeobraził torysa na liberała. (D. n.)

W. Nadolski.

Z GALICYI.

Wybory do sejmu, które wkrótce odbyć się mają, przypomniały tutejszemu społeczeństwu niejedną krzywdę publiczną, odkryły niejedną ranę krwawiącą się już oddawna.

Po części mówiłem o tem w poprzednim liście, i w tym mówić mi wypadnie. Szereg oskarżeń podniósł komitet centralny stronnictwa ludowego. Bardzo to elastyczny tytuł i nie zawsze odpowiada myśli zasadniczej, tkwiącej w nim, ale nie ma to nic wspólnego z istotą i prawdą podniesionych zarzutów. Szkoda tylko, że grupa, w imieniu której komitet występuje, jest tak zdyskredytowaną, że nikt poważnie tych słów nie bierze, lecz potępia je z góry jako przesadne. Dowodzi to chyba najwyraźniej, że grupa postępowców galicyjskich wymaga odnowienia i przekształcenia sił pracujących, jako też innej, że tak powiem, metody pracowania. Dopóki się to nie stanie, dopóki przywódcy galicyjskiego demokratyzmu będą pogardzani i lekceważeni, głos ich, chociażby najpoważniejszy i najsłuszniejszy, nigdy wysłuchanym nie będzie.

Nie ulega wątpliwości, że w Galicyi bardzo wiele do zrobienia pozostaje. Źródło złego wskazywano już nieraz: pochodzi ono z nierządu administracyjnego, z obojętności naszej, z braku zaradności.

Podzieliłbym nasze dolegliwości publiczne na dwie grupy: takie, które od nas pochodzą i — z Wiednia. Dolegliwości, mające źródło we własnych naszych winach, leczą się powoli, lecz stale, ale dowody przyjaźni wiedeńskiej, tak chętnie podnoszone przez oportunistów tutejszych, drogo nas kosztują — bo rujnują materyalnie i zniżają moralnie.

Nie licząc w ciągu ostatnich pięciu lat klęsk z wylewu rzek, będących następstwem złego gospodarstwa leśnego w górach, klęsk nieurodzajów dwukrotnych, ogień pochłonął pracy ludzkiej blizko na 25 mil. złr., a w tej liczbie tylko $^1/_4$ była ubezpieczoną. Dodajmy do tego lichwę żydowską, przeciążenie podatkami, wzrastające ustawicznie, a nie będziemy się bynajmniej dziwić następstwu tego wszystkiego — nędzy ludu, przeważnie klas pracujących.

Jużci taki stan rzeczy wymaga bardzo energicznej obrony w sejmie. Platoniczne wzdychania na temat poprawy stosunków ekonomicznych nie wystarczają wcale — trzeba czynów, trzeba mieć odwagę ostro krytykować działalność bohaterów stańczykowskich.

Chłop tutejszy jest ciemny — nie dlatego, że nie uświadomiony politycznie, lecz dlatego, że nie posiada prawie zupełnie wiadomości, dotyczących jego fachu i nie ma gdzie ich nabyć. Przez oświatę fachową warstw robotniczych do względnego dobrobytu — oto najkrótsza droga. U celu jej znajdzie ludność, z pracy rąk żyjąca, środki zaradcze do walki z przygniatającą ją siłą podatkową, z klęskami elementarnemi, z wyzyskiwaczami różnego rodzaju. Zamiast równolegle prowadzić rozwój szkolnictwa fachowego z rozwojem przemysłowym i fabrycznym, gdzie wiadomości i siła znaleźć mogą zastosowanie, u nas robi się odwrotnie: zakładają szkołę, gwałtem prawie spędzają do niej uczniów, którzy potem nie znajdują żadnej możności zdobycia sobie chleba na tej drodze, a do innego zawodu nie są zdatni.

Tak rzeczy stoją wogóle. W szczególach, np. co do rolnictwa, sprawa cała przedstawia się znacznie gorzej i wprost jest dowodem, że siły, powołane do badania i roztrząsania jej, nie są ekonomicznie wykształcone i nie rozumieją doniosłości sprawy podjętej. Mamy najlepszy dowód w uchwale sejmu zeszłorocznego, który kilkanaście tysięcy złr. wyznaczył zapomogi w tym celu, ażeby co rok jeden lub dwu nauczycieli szkół wiejskich wysłać za granicę na kształcenie do średnich uczelni rolniczych. Z powrotem mieli ci szczęśliwi wybrańcy obdarzać lud wiadomościami odpowiedniemi. Teoretycznie bardzo ładna myśl. Przenieśmy ją jednak do życia — cóż się pokaże? Piękna myśl przeobrazi się w bańkę mydlaną. Cóż znaczy owych dwu nauczycieli, niby fachowych, rocznie prawie na 4,000 szkół? Tym sposobem postęp rolniczy na setki lat odłożyć wypadnie.

Wiem, że do tego postępu przyczyniają się powoli kółka rolnicze, doryweze kursy, przypadkowe seminarya fachowe, jako też inne stowarzyszenia, ale nie jest to działalność rządowa, która wymaga stałej, regularnej pracy. Póki taka praca podjętą nie będzie, nie można myśleć o podniesieniu ekonomicznem kraju. W tym kierunku przeto akcya sejmowa może być bardziej energicznie prowadzona, niż dotychczas, poprowadzić zaś ją mogą tylko posłowie z lewicy. Gdyby nawet nie udało się im nic w tym zakresie zrobić zupełnie zadowalającego, już sam fakt ciągłego czuwania zmusi konserwatystów do liczenia się z nim — jak się to niejednokrotnie stało.

Chcąc podnieść nieco stan rzemiosł w kraju, posłowie ustawicznie starają się o to, ażeby dostawy do licznych załóg wojskowych, rozsianych w Galicyi, oddawane były obywatelom miejscowym, nie zaś dostawcom z Wiednia lub przekupniom. Należy jednak wątpić, czy na tej drodze dojdzie się kiedy do stosunków znośnych. Niedawno opowiedział mi jeden z bezpośrednio interesowanych taki wypadek: W pewnej miejscowości, gdzie pomieszczono kilkanaście tysięcy wojska, były rozpisane oferty na dostawę kartofli. Właściciel ziemski z najbliższego sąsiedztwa do licytacyi stanął, zaproponował cenę najniższą i dostawę przyjął. Dostarczał tedy ziemniaki bardzo regularnie, w doskonałym gatunku, za co otrzymywał pochwały od władzy wojskowej. Po miesiącu czy dwóch, podano mu rachunek, który, porównany na miejscu, przekonał go, że był wyższy o paręset guldenów. Zwrócił tedy rachunek z tem oświadczeniem, że zaszła pewnie pomyłka, gdyż ziemniaków dostarczono znacznie mniej. Otrzymał na to odpowiedź, że rachunek sprawdzano w kancelaryi wojskowej i okazał się zupełnie rzetelnym. Ale właściciel upiera się stanowczo, że tyle nie dostarczył. Wraca rachunek znowu, przeglądają go kontrolerowie, sprawdza dowódca batalionu i nareszcie oświadczają uroczyście, że istotnie dostarczono tyle, ile podał dostawca.

Rzecz na pozór bardzo zwykła, a jednak proszę posłuchać niezwykłego rozwiązania. Dostawca pobrał należne mu pieniądze i w terminie oznaczonym nową partyę posłał. Jakież było jego zdziwienie, gdy mu ziemniaków nie przyjęto, oświadczając, że są — niedobre. Jednego dnia tedy były zepsute, innego niesmaczne, innego nie dość wielkie, czwartego nie posiadały wagi — i tak dalej. Skończyło się na tem, że dostawca musiał zrzec się dostawy i zapłacić karę za niedotrzymanie umowy. Miejsce jego zajął arendarz z tej samej wsi, który u niego kupował ziemniaki i płacił drożej, niż sam wytwórca skontraktował. Ziemniaki odtąd były znowu doskonałe, a arendarz zadowolony.

Sens moralny da się wysnuć bardzo łatwo. Dostawca kartofli nie domyślał się, że można dać łapówkę, a wówczas nawet zgniłe ziemniaki byłyby wyborne i wolał zrzec się dostawy, niż być nieuczciwym. Stąd bardzo prosty wniosek: że dostawy dla wojska na miejscu, przez rzemieślników i obywateli krajowych są prawie niemożebne wobec demoralizacyi personelu urzędniczego wojskowego. Ci panowie *szukają* nieuczciwych, znajdują ich łatwo, a chętniej wchodzą w układy z zamiejscowymi. Dodać muszę, że dostawca w wojsku austryackiem wogóle jest także kasyerem pułkowym, z tą różnicą od rzeczywistego, że pieniędzy, wziętych w jego kasie, prawie nikt nie zwraca.

Takich spraw jednak nie wolno podnieść ani w sejmie, ani w Radzie państwa, ażeby nie osłabiać powagi armii.

Słusznie tedy komitet centralny stronnictwa ludowego na zjeździe delegatów okręgowych w Rzeszowie (pod prezydencyą Karola Lewakowskiego) powiedział: „domagajmy się z całą stanowczością takiego prawodawstwa i wykonawstwa, abyśmy w kraju naszym nie mieli rządów bez ustaw, ani ustaw bez rządów." Szkoda tylko, że p. Lewakowski w Radzie państwa tego nie mówi nigdy, zasłaniając się zawsze tem, że Koło polskie mówić mu nie pozwala. Hausnerowi nie przeszkadzało ono mówić, a wówczas z głosem jego liczyli się niemcy i polacy. Nie chcę dotykać nikogo z komitetu centralnego ludowego, nie wymieniam nazwisk, ale niech ciekawy czytelnik przeczyta sobie spis członków, a jeżeli zna bodaj trochę stosunki galicyjskie, doprawdy uśmiechnie się pobłażliwie. Nic im może nie dałoby się zarzucić osobiście, ale jako przedstawiciele stronnictwa, pretendującego do obrony praw i żądania sprawiedliwości dla pokrzywdzonych, to niema tam dosyć ani światła, ani powagi. Prawda, że w sprawach publicznych więcej nieraz znaczy to, co się mówi, niż kto mówi, ale tam, gdzie się z ktosiem liczą, potrzeba, aby było z kim się liczyć.

Cho.

PRAWO KOBIET I MAŁŻEŃSTWO.

II.

To wszystko, coby należało do męża i żony, mówi J. Stuart Mill, gdyby nie zawierali małżeństwa, zostanie pod ich wyłącznym zarządem przez czas trwania związku... Są osoby, które razi myśl separacyi majątkowej; widzą one w tem negacyę pojęcia małżeństwa, stopienia dwu istnień w jedno. Co do mnie, jestem najenergiczniejszym stronnikiem spólności dóbr, gdy ta wynika z zupełnej jedności uczuć pomiędzy właścicielami, co sprawia, iż wszystko pomiędzy niemi jest spólne. Ale nie mam najmniejszego upodobania w zasadzie, w imię której wszystko, co twoje—jest moje, ale co moje—nie jest twoje; nie chciałbym układu podobnego z nikim, chociażby miał wypaść na moją korzyść.

Niesprawiedliwość tego rodzaju ucisku, który ciąży na kobietach, jest powszechnie uznana; można jej zaradzić, nie dotykając nawet innych punktów kwestyi i bezwątpienia ona najpierwsza zniknie."

Słowa znakomitego ekonomisty sprawdziły się, gdyż prawo angielskie z r. 1882 poszło za jego wskazówkami. Jeszcze przed laty dwudziestu legalnym skutkiem małżeństwa w tym kraju było: pochłonięcie osobowości żony przez osobowość męża. Przed r. 1870 prawo zwyczajowo przyznawało tam mężowi własność zupełną, bez żadnych zastrzeżeń, wszystkich rzeczy ruchomych żony. Co do majątku nieruchomego, zachowywała ona tytuł własności, ale mąż zarządzał i z dochodów korzystał. Żona pozbawiona była „osobowości cywilnej:" nie wolno jej było stawać w sądzie lub dopełniać jakiegokolwiek aktu prawnego, nawet za zgodą męża, nie mogła robić testamentu, który miałby moc prawną. Starano się do pewnego stopnia łagodzić ową przewagę mężowską, drogą np. ustanowienia odzielnej schedy, jako wyłącznej własności żony. Bardzo atoli szczupła garstka korzystała z tego przywileju. Zarobki różnych pracownic, honoraryа artystki albo autorki, nie korzystały z opieki prawa. Jak gdyby wszakże przedświtem pomyślniejszego zwrotu, jeszcze r. 1857 był specyalny przepis w sprawie rozwodu, na którego mocy kobieta opuszczona przez męża, mogła uzyskać wyrok sądu, upoważniający ją do swobodnego rozporządzenia tem wszystkiem, co nabyła od czasu, gdy się z nią mąż rozstał.

Od r. 1870 rozpoczyna się w Anglii przekształcenie prawa małżeńskiego w zakresie interesów pieniężnych. Zabezpieczono zarobek własny kobiety zamężnej. Otrzymała ona także prawo odwoływania się osobiście do sądów w sprawach dotyczących jej mienia. Nie na tem wszakże koniec. R. 1882 wydano przepisy szersze, dotyczące majątku kobiety zamężnej (*The married Women's Property*). Według nich mężatka może nabywać i rozporządzać majątkiem, posiadać jako własność oddzielną to mienie, którego była właścicielką w chwili zamęźcia, jak również nabyte później drogą sukcesyi, darowizny, lub wreszcie jako zarobek, pochodzący z odrębnej profesyi. Z pracy na polu artystycznem, literackiem albo naukowem. Nadto, może ona zaciągać zobowiązania do wysokości posiadanego majątku; stawać w sądach bez towarzystwa męża; ma prawo zarządzać swoim majątkiem i czerpać zeń dochody. Ciężary, wynikające z małżeństwa, podzielone są między małżonków w stosunku do środków posiadanych z osobna. Żona jednak może w każdej chwili powierzyć mężowi administracyę swego mienia, zresztą w intercyzie wolno czynić takie zastrzeżenia i zrzekania się pewnych przywilejów na stronę męża.

Jak widzimy, Anglia poszła daleko, nie sama przez się wszakże, lecz za przykładem kilku stanów Unii amerykańskiej. Zdawałoby się, że reformy to powinny być wzorem, łatwym do przyjęcia w innych krajach; tymczasem dotąd widzimy w większości coraz odmienne prawa, stawiające kobietę w zupełnej zależności od męża pod względem materyalnym. We Francyi dopiero niedawno ogłoszono projekt (opracowany przez znanych profesorów wydziału prawnego w Paryżu: Jalaberta i Glassona), którego jeden z artykułów głosi: „Kiedy mąż przez lekkomyślność swoją naraża na straty mienie małżeńskie, żona może bez żądania separacyi majątkowej z upoważnienia sądu odbierać sama zarobki swoje i rozporządzać nimi swobodnie." Jest to tylko bardzo niewyraźna dążność do reform na wzór angielskich, właściwie półśrodek, gdyż pozwala uciekać się nie do prawa jasnego, lecz do uznania sądu. To samo w razie porzucenia przez męża, którego dwie trzecie dochodów lub pensyi, może być zaaresztowane na rzecz żony, jeżeli ma dzieci i jedna trzecia, jeżeli jest bezdzietną. O wiele liberalniejsze ustawy (po Anglii) posiadają w czynie: Szwecya, Dania i Norwegia, wreszcie dość śmiałe zarysy widzimy w projekcie kodeksu cywilnego Niemiec. Według niego, kobieta zamężna nie jest dotknięta żadną niezdolnością, chociaż wtrącanie się męża jest potrzebne w większości wypadków, z powodu rozporządzeń, dotyczących uregulowania spraw majątkowych. Żona zatem używa swobody ograniczonej w rozporządzaniu mieniem swojem, wskutek praw, udzielonych mężowi, kiedy zachodzi spólność albo zlanie majątku. Jeżeli wszakże małżonkowie na zasadzie wzajemnej umowy zgodzą się na „separacyę majątkową"—żona staje się zupełnie niezależną pod względem rozporządzania dobrami materyalnemi, jak gdyby nie była zamężną. Jest więc to system wolności zawarowanej umową, bardzo racyonalny, bo nie prowadzący do nadużywania przywilejów. Trzeba bowiem i to mieć na uwadze, że i kobiety bywają skłonne do trwonienia, podczas gdy powściągliwy w tej mierze mąż może być poniekąd hamulcem dla zabezpieczenia zobopólnego bytu rodziców i dzieci. Prawo cywilne nefszatelskie podobne jest bardzo do projektu niemieckiego, bo tam tylko majątkowa spólność czyni kobietę niezdolną. W razie zaś zastrzeżonego rozdziału w umowie przedślubnej, żona nie potrzebuje wcale upoważnienia męża i rozporządza swobodnie majątkiem swoim.

W zakresie praw męża i żony panują w całej Europie trzy systemy: spólności, bezpólności i separacyi majątkowej. Wziąwszy pod uwagę ludność tej części świata, wynoszącą 360 milionów, zobaczmy, w jakim stosunku podlega ona owym kategoryom przepisów. System, oparty na spólności jakiegokolwiek rodzaju, panuje w następujących krajach: Francya (38 mil.), Belgia, Holandya, Luksemburg, i kilka kantonów Szwajcaryi (12); Szwecya, Norwegia i Dania (9), znaczna część teraźniejszych Niemiec (około 30 mil.), czyli w przybliżeniu 110 milionów (80,—jeżeli potrącimy cyfrę Niemiec z powodu przepisów, proponowanych przez projekt kodeksu cyw.) Kraje, gdzie istnieje system bezspólności tego lub innego rodzaju: Część teraźniejszych Niemiec (około 20), Austrya (27), Królestwo Polskie (8), prowincye Nadbałtyckie i większość kantonów Szwajcaryi (5) — w przybliżeniu ogółem 60 milionów (90 — jeżeli dodamy całe Niemcy z powodu przepisów projektu). Kraje, gdzie działa separacya majątkowa, czyli niezależność: Włochy (30), Rosya (z wyjątkiem tych prowincyi, gdzie porządek jest odmienny około 80), Wielka Brytania i Irlandya (40). W przybliżeniu około 150 mil. Wreszcie kraje, w których porządek prawny nie daje się jasno rozklasyfikować: Węgry, Finlandya, państwa Bałkańskie i t. d., w przybliżeniu 40 milionów. A więc system niezależności obejmuje największą część liczebną ogółu w Europie. Jaki jest najlepszy? Separacya majątkowa—zdaniem Bridela — jest bezzaprzeczenia porządkiem najprostszym i najjaśniejszym dla wszystkich stron interesowanych. Jest przy tem najsprawiedliwszym, „jedynym, który się liczy z prawami kobiety."

Niezmiernie ważna jest kwestya, dotycząca prawa do spadku po spółmałżonku. Nie możemy atoli zaglądać do wszelkich prawodawstw europejskich, więc poprzestaniemy tylko na rzucie porównawczym ogólnym. Według prawa kilku krajów, spółmałżonek powołany jest do sukcesyi tylko w razie, gdy niema krewnych w stopniu upoważniającym do dziedziczenia. Tak głosił francuzki kodeks cywilny, obecnie przekształcony pod tym względem. Ztamtąd ów system przeszedł do Belgii, gdzie dotąd obowiązuje, a także do części francuskiej kantonu berneńskiego. Podobny stan rzeczy panuje w Holandyi. Ideą przewodnią tego systemu, coraz bardziej zanikającego, jest—aby majątek osoby zmarłej bez testamentu, wrócił do członków jej rodziny. Pewna liczba prawodawstw upoważnia spółmałżonka do udziału w spadku wraz z rozmaitemi kategoryami krewnych. Ma on zatem prawo do całkowitej sukcesyi tylko w braku takich krewnych. Do tej grupy należą Francya (od r. 1891) i Austrya. Anglia także—w tem, co dotyczy wdowy i majątku ruchomego; Genewa (od r. 1874), Zurich i Rosya, w której spółmałżonek, pozostający przy życiu ma prawo do siódmej części majątku nieruchomego i do czwartej ruchomego. W Rosyi przy tem istnieje prawo, według którego zstępni, dziedziczący po rodzicach *ab intestato*, otrzymują udziały swoje w następującym stosunku: „Każda córka, gdy żyją synowie, t. j. siostra przy braciach, otrzymuje z całego majątku nieruchomego czternastą część a z ruchomego ósmą. Jeżeli niema synów lub ich zstępnych, do spadku przychodzą córki tudzież ich zstępni i dzielą się między sobą według tych samych prawideł (art. 1130 i 1132 *Swodu*). Pomimo to wszakże bracia mogą się zgodzić na równy podział z siostrami.

Następstwa jednak powyższego systemu są bardzo różne, stosownie do stopnia, w jakim się znajdują spadkobiercy. Np. we Francyi krewny dwunastego stopnia może brać udział w spadku wraz ze spółmałżonkiem, gdy w Genewie po za ósmym już nie dziedziczy. Prawodawstwa hiszpańskie, zurychskie i bazylejskie odznaczają się jeszcze większem ograniczeniem w tej mierze. Według innych, spółmałżonek wyłącza wszystkich krewnych, którzy nie są „najbliżsi," wtedy nawet, gdy są jeszcze w stopniu upoważniającym do dziedziczenia. Tak jest w Prusiech, Włoszech, Saksonii i—według projektu niemieckiego. Pomijamy zresztą odcienie innych prawodawstw, ze względu na ich znaczną liczbę.

Również pod względem przywilejów władzy ojcowskiej i korzystania z dochodów dzieci, w prawodawstwach europejskich panuje wielka rozmaitość i chaos. Na uwagę zasługuje artykuł kodeksu cywilnego prowincyi Nadbałtyckich: „Jeżeli matka jest przekonana, iż wola ojca przynosi szkodę dzieciom, może się odwołać do władzy sądowej, która w tym razie powierzy jej samej wychowanie." Paragraf ten powinien być wzorem dla innych prawodawstw. Pod względem wymierzania kary znaczna część prawodników niedowierzająco traktuje kobiety: „Brak dojrzałego sądu i charakter skłonny do uniesień, dość powszechny śród kobiet, nie pozwala tyle polegać na zdaniu matki, co ojca" (Pothier w XVIII w.) Według Valette'a, charakter matki, często zmienny i gwałtowny, nie daje rękojmi spokojnego i zimnego oceniania rzeczy. To samo mniej więcej twierdzi Colmet de Santerre: „Prawo nie ufa charakterowi niewieściemu, skłonnemu często do przesady, który mógłby przypisywać za wielkie znaczenie błędom mniej ważnym." To też w wielu prawodawstwach europejskich panuje charakterystyczna zasada: *Tacet mater in familia.*

W jaki sposób usunąć sprzeczności, nadać możliwie największą sprawiedliwość traktowaniu kobiety przez prawo? Bridel podaje klucz do rozwiązania tej kwestyi w szeregu następujących wniosków: 1) Wymazać z prawa: „żona winna posłuszeństwo mężowi," zachowując zresztą zasadę, że mąż jest „głową rodziny," póty przynajmniej, póki spełnia obowiązki, ciążące na nim względem swoich. 2) Równość w traktowaniu obojga małżonków, pod względem wierności (w dziedzinie prawa karnego i cywilnego). 3) Przyznać kobiecie zamężnej całkowitą zdolność cywilną, usuwając konieczność upoważnienia męża i wszelkie instytucyo, krępujące jej swobodę działania. 4) Nadać uświęcenie prawne przepisowi kodeksu, na mocy którego mąż powinien u-

trzymywać swoją żonę i dzieci. 5) Przyjąć separacyę majątkową, czyli niezależność wzajemną małżonków; zasada wolności w układach małżeńskich jest zresztą uświęcona przez prawo. 6) Zapewnić kobiecie zamężnej prawo swobodnego rozporządzania własnym zarobkiem. 7) Dać znaczny udział w sukcesyi pozostałemu przy życiu spółmałżonkowi, jako pierwszemu spadkobiercy. 8) Zastąpić wyrazy *władza ojcowska* przez *powaga rodzicielska*. Uznać prawa matki obok ojca. 9) Kiedy powaga rodzicielska przypadnie matce, powinna mieć te same prawa co ojciec pod względem przywilejów władzy rodzicielskiej (wychowanie, opieka, kara, prawo do dochodów i zarządu majątkiem). 10) Po śmierci ojca matka powinna być opiekunką swych małoletnich dzieci, a jej macierzyńskie prawa nie powinny być skrępowane innymi przepisami niż te, jakie się stosują do ojca w razie śmierci matki. 11) Dozwolić, ażeby kobiety wogóle, zamężne lub nie, mogły być wybierane na opiekunki i członków rady familijnej. 12) Pozwolić, ażeby mogły być powoływane na świadków przy rozmaitych aktach publicznych i prywatnych.

Pewna dążność w reformie kodeksów do większych przywilejów dla kobiety, jest objawem wielce charakterystycznym, nadającym znamienne piętno warunkom bytu małżeńskiego. Potrzebuje on wzmacniania swych podstaw cementem prawnym. Kodeks reguluje stosunki ludzkie, bądź jako środek zapobiegawczy, bądź jako protest przeciwko wszelkim nadużyciom lub uciskowi. Więc i w małżeństwie tę samą rolę odgrywa. Ale nie zapominajmy, że prawo, skoro przychodzi ze swoim wyrokiem — to przymus, to antagonizm dwu stron. Tymczasem musi óno coraz częściej zaglądać do tak zwanych ognisk domowych, które miały być oparte na miłości i dobrej wierze. Rzeczywistość rozwiała złudzenie i regułę zaliczyła do wyjątków. Prawo w *małżeństwie* stało się obrońcą strony krzywdzonej, w *rodzinie*—pomocą do wydobycia kobiety z pod gruzów tradycyi i wzniesienia na stanowisko nie niewolnicy—westalki, lecz kapłanki właściwej. Ci, którzy drżą o to, ażeby na skrzydłach większej swobody nie wzleciała ona ponad strzechę i komin ze szkodą własnego gniazda, niech się pocieszą, że owo przywileje mogą tylko utrwalić kobietę „w domu" i nadać jej większe znaczenie, jako pożytecznej kierowniczce latorośli społecznych.

Zenon Pietkiewicz.

PAMIĘTNIK.

Podróżni i służba pociągowa

Rubryka p. t.: „Głosy publiczne" w *Kur. warsz.* bywa bardzo często upustem dla irytacyi ludzi chorych, starych tetryków, nerwowych, kapryśnych, wiecznie rozdrażnionych. Wierzę, że im po wyrzędzeniu się i wygderaniu może być lżej, ale taką zgryźliwością zabarwiona kwestya przedstawia się zupełnie fałszywie. Dopóki rzecz idzie o dziurawe chodniki, niedostateczne oświetlenie ulic lub schodów, o psa złośliwego u sąsiada, jest to zabawka niewinna, nieszkodliwa ani dla cierpliwego papieru, ani obojętnego czytelnika. Ale oto niedawno ci panowie urządzili nagankę na pracowników kolejowych i domagają się, żeby ich ogół i zarząd traktował, jak służbę lokajską, a nawet gorzej, bo wprost odsądzają od jakichkolwiek praw ludzkich: „Kontroler, jeżeli niema miejsca w wagonie osobowym — powiada jeden z nich — jadąc w interesach służby, ma obowiązek podróż tę odbyć chociażby w wagonie towarowym." Inny znowu woła: „Konduktorzy bez względu na stan pogody i porę nocną, otwierają drzwi wchodowe, nie zamykając ich za sobą; gdy zamykają, czynią to z takim hałasem, że trzeba mieć nerwy z żelaza, aby tej przykrości nie odczuć." Otóż w wagonach klasy pierwszej (w której ten pan jeździ) należy koniecznie zaprowadzić dywaniki na korytarzach, „tamujące zbyt energiczne stąpanie służby pociągowej." Należałoby również zabronić hałaśliwego i tłumnego wpadania do przedziałów, a zalecić, aby wtedy jedynie wchodzili, kiedy się ich *zawoła*. (Czy nie lepiej byłoby, żeby ten pan sprawił sobie własny wagon na kołach gumowych, jeżeli to możliwe, wysłany i obity dywanami, ze służbą odpowiednio wytresowaną i chodzącą w pantoflach?) Czytając szereg powyższych żądań i tę wielką pogardę, wyglądającą z każdego słowa dla służby kolejowej, doprawdy nie wiemy, co więcej podziwiać: czy gotowość *Kuryera* do umieszczania takich rzeczy, czy ów cynizm pański, depczący godność ludzi pracujących, z wysokości poduszek pierwszej klasy. Gdyby te poduszki mogły czuć i widzieć, kogo nieraz przewożą, jęknęłyby zgrozą i zadrżały mocniej, niż podłogi korytarzów wagonowych pod energicznem stąpaniem służby. Prawda, zdarzały się wypadki arogancyi i samowoli niektórych kontrolerów, jak np. wyrzucenie żydówki z wagonu za to, że nie chciała wykupić biletu dla dziecka pięcioletniego. Niechże więc ślina schorzałych i stetryczałych wygodnisiów nie pada na twarz ogółu pracowników, których brutalne stopy „wstrząsające nerwami" czułych podróżnych bywają nie raz czystsze niż sumienie niejednego z pasażerów pierwszej lub drugiej klasy, mogących w każdej chwili cisnąć zniewagę owej służbie. Ci panowie, którym przeszkadza powietrze z okna otwartego na korytarzu, nie wahają się wyprawiać pracowników pociągowych do wagonu towarowego, jak gdyby im mało było tych trudów i niewygód, przynoszących w puściznie nie tylko chroniczne katary płuc, ale suchoty, reumatyzmy, zupełne starganie sił; nie wiedzą, że ich pensya roczna dla utrzymania licznej rodziny i wychowania dzieci częstokroć wynosi zaledwie cząstkę tej sumy, jaką niejeden z podróżnych pierwszej klasy wydaje na wycieczkę za granicę. *—p.—*

Książki dla wychodźców.

Emigranci brazylijscy przesłali za pośrednictwem prasy warszawskiej odezwę do ogółu, treści następującej: Już pięć lat ubiega, jak przybyliśmy do Brazylii w pogoni za chlebem. Wieleśmy nędzy doznali, zanim wykołataliśmy jakie takie utrzymanie. Trzystu kolonistów, wszyscy obarczeni liczną rodziną, razem około 1,000 osób, nie posiadają środków dla zaspokojenia potrzeb religijnych i umysłowych. „Teraz dopiero Bóg nam zesłał człowieka wykształconego, z jak najlepszemi dążnościami, który zajął się nauką naszych dzieci i oświeceniem dorosłych. Brak nam tylko książek! O nie więc błagamy!" Podręczniki nauk elementarnych, książeczki ze szkół freblowskich, bajarze, bajki i wiersze, mapki, książki beletrystyczne, do nabożeństwa, lekarskie, o gorzelnictwie i piwowarstwie, pszczelnictwie i ogrodnictwie, poezye, encyklopedye itd., wszystkie, chociażby stare, będą chętnie przyjęte dla urządzenia biblioteki. Adres dla przesyłki: „Süd America, Brezil, port Sontos, kolonista Miguel Muszyński." Dla listów lub książek obanderolowanych: „Süd America, Brezil Estagao Sao Bernardo, Colonia Rio Pigino, kolonista Miguel Muszyński." Ogół na tę prośbę nie pozostał głuchym. Do *Kuryera warszawskiego* nadchodzi mnóstwo książek. Redakcya zaś bardzo chętnie w tem pośredniczy.

Szkoła — niepotrzebna.

Przed paru tygodniami we wsi Młodzieszynie, pow. sochaczewskim, zwołano zebranie gminne w sprawie założenia szkoły rzemieślniczej dla dzieci włościańskich i postanowienia, do jakiej wysokości gmina ma się przykładać rocznie na utrzymanie tej szkoły. Włościanie. po krótkiej naradzie orzekli, że szkoła nie jest im potrzebna. Podobno takie same uchwały zapadły i w innych gminach. Lud, nie rozumiejąc swego dobra, broni się energicznie przed wykształceniem fachowem. Tymczasem rzemiosło w drobnej gospodarce włościańskiej szwankuje bardzo. Zdolnych cieślów, stelmachów, bednarzy, kołodziejów, kowalów, ślusarzów, stolarzów, szewców, krawców itd. jest stosunkowo niewielu; prawie wszyscy są partacze, podczas gdy np. w Cesarstwie włościanie mają nawet własne fabryczki do wyrobu narzędzi gospodarczych, już nie mówię o umiejętnej ich naprawie w razie zepsucia. Gospodarstwa ludu naszego, rozdrobnione i liche, wymagają wzmocnienia. Liczne gałęzie rzemiosła przy pewnej znajomości mogłyby się rozwinąć; chłop nietylko nie potrzebowałby na jarmarkach nabywać tandety drogiej, ale jeszcze sam mógłby wytwarzać pewne przedmioty na sprzedaż. Uchwały gminne świadczą o braku wszelkiego uświadomienia w tej mierze. Ale czyż niema sposobu wprowadzenia szkolnictwa fachowego po za powagą gminną śród ludu i przekonania go o potrzebie tego środka?

Tabela poglądowa.

P. M. Osmala zajął się szczerze wykazaniem stanu wykształcenia terminatorów rzemieślniczych w Warszawie. W tym celu dotarł do źródeł bezpośrednich i zebrał w osobnej broszurze ciekawe cyfry, a obecnie ułożył starannie tablicę poglądową, wykazującą w sposób graficzny liczbę młodzieży rzemieślniczej w szkole i po za nią. Widzimy az 64 kategorye, z tych pod względem liczebnym pierwsze miejsce zajmują szewcy, których uczniów 544 chodzi do szkół, a 5,916 obywa się bez niej, dalej idą ślusarze (217 w szkole, 487 po za nią), krawcy (192 w szkole, 728 po za nią), stolarze (173 i 493) kowale (85 i 146), tokarze (67 i 1). Wcale nie chodzą do szkół niedzielno-rzemieślniczych: cukiernicy (256), piekarze (251), kamieniarze (163) rymarze (92), farbiarze (64), kopyciarze (63), szmuklerzy (62), parasolnicy, mydlarze, grzebieniarze (po 52), ramiarze (51), tracze (45), dekarze (57), rzeszotarze (22), szklarze (19). W stosunku do liczebności oddzielnych grup samych w sobie pierwsze miejsce zajmują tokarze, gdyż z 68 osobnej liczby tylko jeden się nie uczy, a następnie nożownicy: z 27 jeden nie uczęszcza do szkoły. Wogóle widzimy znaczną większość terminatorów wszystkich kategoryi, nie korzystających wcale ze szkół niedzielno-rzemieślniczych. Dla czego? Przecież istnieją kary, nakładane na majstrów za brak dozoru i niedbalstwo w tej mierze. Kwestyę ową kilkakrotnie roztrząsano na posiedzeniach sekcyi rzemieślniczej, wykazywano trudności takiej kontroli, ze względu na różnorodne wybiegi malców i na tem się skończyło. Niechże tabela p. Osmały będzie przypomnieniem pilnej i ważnej sprawy.

Nowa „Dolina".

Warszawa posiada parę kącików ulubionych a jeszcze nie zagarniętych pod budowę kamienic. Jednym z nich jest Dolina Szwajcarska, której zagładą długo grozili reporterowie miłośnikom koncertów śród zieleni na świeżem powietrzu. Obecnie ta sama reporterya odkryła nowy ogród na Powiślu i już zdążyła nazwać go „Doliną nadwiślańską". Jest to posiadłość, gdzie się mieści Bank dyskontowy na Krakowskiem Przedmieściu. Po przeniesie-

niu tej instytucyi do własnego domu będzie do nabycia na użytek powszechny cała owa posesya, obejmująca obszerny ogród z tarasami, z rozległymi widokami na Wisłę i okolice. Fakt ten istotnie nie może być obojętnym dla Warszawy, której ogrody prywatne coraz bardziej zanikają a publicznych stosunkowo jest zbyt mało; przytem nie mamy takich miejsc przystępnych dla ogółu, skąd można byłoby ogarnąć wzrokiem szerszy widnokrąg, jak w innych miastach. Dawniej nadawał się do tego Foksal, ale pochłonęła go ulica. Jest jeszcze ogródek przy Instytucie muzycznym, dostępny wszakże dla publiczności tylko w takich uroczystych chwilach, jak wystawa metalowa. Byłoby zatem pożądane, ażeby „Dolina nadwiślańska“ nie pozostała pięknym snem reporterskim.

W DALI.

Łódź. Wkrótce ma się tu odbyć zjazd przedstawicieli przędzalni bawełny w celu podwyższenia cen wyrobów, z powodu podrożenia materyału surowego. — Po śmierci dr. Jędrzejewicza obserwatoryum astronomiczne w Płońsku, na którego urządzenie nieboszczyk wydał 30,000 rs., było zagrożone upadkiem. Dopiero przed rokiem ktoś przyrzekł dać zasiłku 4,500 rs., z tym jednak warunkiem, ażeby się znalazł astronom i odpowiednie środki utrzymania dla niego. Otóż niedawno jeden z przemysłowców łódzkich ofiarował na ten cel 2,000 rs. rocznie, z zastrzeżeniem, aby obserwatoryum płońskie przeniesiono do Łodzi. Obecnie zaś, jak donosi korespondent *Kuryera warsz.*, fachowiec odpowiedni już się znalazł. — Jeden z fabrykantów miejscowych traktuje z Siemiradzkim o nabycie najnowszej jego pracy, „Pokusy św. Hieronima.“ — W Łodzi wybudowany będzie wkrótce osobny gmach dla ochronki katolickiej. — Odkrycie obfitych pokładów węgla kamiennego w Krośniewicach u pp. Rembielińskich, tudzież wybornej rudy żelaznej, wreszcie ślady istnienia tych bogactw w innych dobrach sąsiednich aż pod samo Kutno, wywołały powszechne ożywienie, co w niedalekiej przyszłości prawdopodobnie wpłynie na rozwój wielkiego przemysłu w nowych miejscowościach, zmieni całkowicie ich charakter i warunki. Bogactwa mineralne pod płaszczyznami kujawskiemi, zdaniem inżenierów, badających dokonane odkrywki, mogą być również bogate, jak np. pod równinami nad Donem, których warunki geologiczne są bardzo zbliżone do kujawskich, a więc nasuwają przypuszczenie dużych pokładów rudy i żelaza. Węgiel krośniewicki przytem, oparty na warstwach rudy żelaznej, jest podobny do znanego węgla z kopalni „Rudolf,“ zawierającego dużo żelaza, bardzo cenionego w technice. Przyszłe kopalnie krośniewickie i kutnowskie zniosą zależność rynków przemysłowych łódzkiego i warszawskiego od dostarczających opał i surowiec z zagłębia dąbrowskiego, co ze względu na cenę opału i przestrzeń przewozu, ma olbrzymie znaczenie. Drugiem następstwem odkrycia pokładów węgla i żelaza w Krośniewicach jest zamiar budowy wewnętrznej linii kolejowej z Łodzi przez Zgierz, Ozorków i Łęczycę do Kutna, które stanie się składem produkcyi kopalnianej krośniewicko-kutnowskiej. Kolej ta dla Łodzi, Zgierza, Pabjanic i innych siedzib fabrycznych staje się konieczną dla dowozu opału z nowych kopalń i zbliżenia wogóle bezpośredniego z odnogą aleksandrowską kolei Wiedeńskiej, złączoną z komorami celnemi w Aleksandrowie i Nieszawie, skąd mnóstwo materyałów lub maszyn z zagranicy idzie do Łodzi.

Żytomierz. Zarząd Kowla pragnie stworzyć wzorowy ogród miejski i w tym celu wzywa specyalistów. Chodzi tu o urządzenie parku tudzież inspektów i hodowli owoców. — W guberniach południowych i południowo-zachodnich powstaje nowy przemysł: wywóz słomy za granicę. Niebywały jej urodzaj w ciągu lat ostatnich do tego stopnia wpłynął na zniżkę ceny, że wielu ziemian wolało ją palić na polu, aniżeli zwozić do stodoły. Tymczasem ten produkt, lekceważony w gospodarstwach, jest bardzo poszukiwany za granicą. Tak np. do Anglii słomę w formie prasowanej przywożą ze Stanów Zjednoczonych i Niemiec. Wobec tego w ministeryum rolnictwa, jak donoszą *Birż. Wied.*, złożono już kilka podań w sprawie stworzenia agentur zagranicznych, które przedewszystkiem zbadałyby warunki sprzedaży słomy na rynkach zewnętrznych. Oprócz tego, towarzystwa rolnicze odeskie i kijowskie zajęte są wynalezieniem najlepszego typu prasy dla słomy, ponieważ dotychczasowe są niewystarczające. W tym celu z Anglii mają być sprowadzone wzory. — Na jarmarku w Żytomierzu zauważono wielki spadek cen inwentarza, z wyjątkiem trzody, której po niedawnej zarazie jest mało. Konie robocze sprzedawano od rs. 15 do 30 za sztukę najlepszą; źrebaki od rs. 2 do 5 za roczniaka, krowy dojne od rs. 15 do 35 za wyborową sztukę rasy poprawnej. Wogóle jarmark był bardzo ożywiony. — Włościanie z pow. dubieńskiego zwrócili się do władzy gubernialnej o pożyczki na zakup narzędzi ratunkowych od pożaru. Prośby uwzględniono i udzielono pożyczki bezprocentowe na spłatę czteroletnią. — Od 29 września do 5 października w gub. wołyńskiej zachorowało na cholerę 1,448 osób, zmarło 608.

Kijów. Izba sądowa kijowska dnia 16 b. m. ogłosiła wyrok, na mocy którego zniosła ze wszelkiemi następstwami rezolucyę łuckiego sądu okręgowego, uznającą hr. Eustachego Potockiego za niewypłacalnego dłużnika. Obrońcami jego byli: miejscowy adwokat przysięgły p. Lewiński i z Warszawy p. Groer. — Według *Torg. prom. gaz.*, w Kijowie powstaje południowo-rosyjskie Towarzystwo akcyjne budowy maszyn z kapitałem milion rs. — Roztrząsany jest obecnie w sferach ministeryalnych projekt kolei Petersbursko - Kijowskiej. W razie przyjścia do skutku tej komunikacyi, powstanie w Kijowie dworzec centralny kosztem dwu milionów rs. — W Kursku otwarto kolonię rzemieślniczo-rolne dla małoletnich.

Petersburg. Odpowiedzialność lekarzy wolno-praktykujących za niepodanie pomocy, w nowym kodeksie karnym zmniejszono i zmieniono. Lekarz karany będzie za nieudzielenie pomocy „choremu, znajdującemu się w stanie omdlenia i pozbawionemu przytomności“, albo za niestawienie się „na wezwanie prawem ustanowionej władzy“. Jeżeli oprócz tego lekarzowi (lub akuszerce) „wiadomy był groźny stan chorego“, wówczas kara podwyższa się „do trzech miesięcy aresztu, przyczem sąd ma prawo ogłosić wyrok na koszt skazanego“ (art. 419 nowego kodeksu). Obecnie powyższy projekt złożono do uznania rady lekarskiej przy ministeryum spraw wewnętrznych i roztrząsany będzie na jednem z najbliższych posiedzeń.—Do akademii wojskowo lekarskiej w Petersburgu nadchodzi rok rocznie mnóstwo podań od lekarzy, pragnących doktoryzować się w tej wyższej instytucyi naukowej. Dotychczas do egzaminów na stopień doktorski dopuszczano tylko wychowańców akademii. Obecnie prośby przyjmowane będą bez ograniczenia od wszystkich lekarzy. Egzaminy teoretyczne wolno składać natomiast nie w ciągu całego roku szkolnego, lecz w grudniu i styczniu. Terminy wyznaczane co rok przez konferencyę akademii w końcu listopada. Egzaminy praktyczne składane mogą być po ukończeniu pomyślnem teoretycznych. —W Petersburgu bawi obecnie inżenier francuski, a zarazem przedstawiciel kapitalistów paryskich w celu założenia do spółki z pewnym bankiem petersburskim wielkiej fabryki maszyn i wagonów w mieście Mikołajowie, gub. chersońskiej. Jednocześnie takież same fabryki maszyn i wagonów zamierza otworzyć w Jekaterynosławiu Hartmann, zięć nieżyjącego Kruppa, słynnego fabrykanta broni w Niemczech. Przedsiębiorca zamierza przypuścić do spółki kapitalistów rosyjskich.

SPRAWY EKONOMICZNE.

WYSTAWA PRZEMYSŁOWO-ROLNICZA W WILNIE

III.

Umieszczenie okazów w głównym pawilonie i dwu bocznych najzupełniej chaotyczne i bezmyślne. Tak np. bryczki i powozy sześciu wystawców widzieliśmy w czterech miejscach, wyroby szczotkarskie w dwu przeciwnych końcach ogromnego budynku, przedmioty sztuki tu i owdzie rozrzucone itp. Jest to zupełne już niedbalstwo, które uniemożebnia publiczności samodzielną ocenę na drodze porównawczej. A może to właśnie jest potrzebnem dla urządzających wystawę?... Nieumiejętność klasyfikacyi ścisłej najbardziej uderza w oddziale III i IV, ciągle tu bowiem widzieliśmy splątane okazy produkcyj rolnej i ogrodniczej; o układzie pojedynczych grup i mowy tu być nie może. Co robią w dziale ogrodnictwa fontanna i studnia artezyjska inż. miejskiego, p. Januszewskiego, który obok tego daje graficzne przedstawienia robót hydro-technicznych, przez siebie w mieście dokonanych? Dlaczego tu spotykamy wszystkie okazy kartofli, gorzelnianych i pastewnych? Lecz za to nie możemy już obwiniać p. Pieślaka: zdaniem naszem, zrobił co mógł i umiał, gdyż on i wystawa rolnicza to antypody, które tylko komitet wileńskiego Tow. wyścigów konnych zdołał z sobą połączyć.

W r. b. mieliśmy ogólnie i w dziale koni włościańskich największą liczbę wystawców. Z jakością rzecz się ma trochę inaczej. Wogóle konie nie są ani trochę lepsze, niż przed laty dziesięciu, a włościańskie o wiele lepsze i poprawniejszych ras. Te widoczne korzyści pochodzą z 30 stacyj ogierów rządowych w czterech guberniach, objętych wystawą i z częstych nagród, udzielanych na jarmarkach w Wilnie, na wyścigach i w innych miejscach podczas wystaw corocznych. Komisya rzeczoznawców w jednej tylko grupie uznała za właściwe wyrazić wszystkim wystawcom naganę (oprócz p. J. Jeleńskiego z Opola) za brak starania i umiejętności w łączeniu właściwych klaczy i ogierów. To wymownie tłomaczy, co zrobiły poprzednie 6 wystaw dla hodowli koni.

Ogół bydła okazowego w r. b. był dobry, lecz o postępie w ciągu lat dziesięciu nie może być mowy. Nie spotkaliśmy żadnych wskazówek o mleczności, ksiąg udojów rocznych, tudzież próbnych, ksiąg stadnych itp.

Pięciu wystawców włościan przedstawiło bydło rasy miejscowej, lecz bardzo złe. Wiemy aż nadto dobrze, że przynajmniej w tym dziale nie było samodzielnego uczestnictwa. Ktoś więc wyświadczył bardzo nieoględną przysługę, narażając włościan tylko na próżną stratę czasu i nieprodukcyjne koszty. Owiec z gospodarki ludowej nie było zupełnie.

Stale mało uczestników w tym dziale świadczy o mało rozwiniętej hodowli w granicach czterech guberni, choć najzupełniej niesłusznie. Spotykamy się z poglądami: 1) że klimat jest niewłaściwy dla owiec cienkowełnistych i 2) że pastwiska naturalne są przeważnie nizinne. Lecz łatwo zrozumieć, że oba te zarzuty są bezpodstawne. Co było przed laty i pod względem klimatu i pastwisk, dziś już ze znacznem wytrzebieniem lasów uległo zupełnej przemianie, a obok tego osuszanie łąk

i pastwisk za pomocą kanalizacyi stale posuwa się naprzód. Niemniej także zaznaczyć musimy, że w tych czterech guberniach jest wiele rozległych płaskowzgórzy, gdzie hodowla merynosów bardzo dobrze by się opłacała, trzeba tylko, aby część światłych rolników dała bodziec, a następnie zasilała dobrymi rozplodnikami owczarnie drobniejsze.

W dziale nierogacizny wszystkie okazy należą do ras angielskich: Jorkschire; Berkschire, Lincoln i innych — czystej lub pół-krwi. Wogóle w całym kraju hodowla świń postępuje ciągle naprzód; pogląd dawniejszy, że rasy angielskie są mniej praktyczne, gdyż trudno je dostawiać na rynki, ustępuje wobec poważnego zwrotu w gospodarstwach folwarcznych, tj. sprzedaży nie żywej trzody chlewnej, ale już gotowych wędlin i sadła.

W grupie psów włościanie również dotąd nie wystawiali swych okazów. Dział ten na wszystkich dotychczasowych wystawach grzeszy poważnym brakiem psów-stróży, jako najbardziej użytecznych i rozpowszechnionych. Stale widzimy tylko myśliwskie, jako okazy wypadkowej, dyletanckiej hodowli.

W roku bieżącym spostrzegliśmy, że zapał gospodyń do rasowych okazów ptactwa domowego znacznie ostygł. Nie bolejemy jednak nad tem w przeświadczeniu, że taka hodowla tylko w wyjątkowych wypadkach może przynosić korzyści.

W dziale pszczelnictwa także włościan nie widzimy. Wystawiono wogóle tylko przetwory z miodu. Ogromne tu braki uderzają każdego, kto wie, jak liczne są pasieki po wsiach, miasteczkach, folwarkach i plebaniach, choć prawie wszystkie nie liczą więcej, niż po kilkanaście lub rzadziej kilkadziesiąt uli.

Gorzej jest jeszcze z zupełnie nieobecnym na wystawie w r. b. działem rybactwa, które nie mniej, a nawet o wiele więcej jest rozpowszechnione w kraju północno-zachodnim. Jedna tylko gub. wileńska posiada przeszło 400 dużych jezior o-gólnej przestrzeni 546 dzies. kwadr., a jednak, niestety, w dziale tym rzeczywiście nic nie mamy na wystawę. Próby sztucznej hodowli i zarybiania wód, podejmowane przez znanego ichtyologa, p. M. Gierdwojnia, były dotąd bardzo nieliczne i nieznaczne, ziemianie tutejsi nie popierają jego usiłowań, a sam on niewiele własnemi siłami zrobić może.

Zamykamy sprawozdanie z oddziału I wzmianką, że, ogólnie biorąc, pomieszczenie zwierząt w pawilonach i klatkach było bardzo ciasne, co już jest skutkiem zbyt małego placu, przeznaczonego na wystawę. Ma on jednak tę wielką zaletę, że leży w samym środku miasta. Słusznie atoli można zarzucić zarządowi, że niewłaściwie zrobił jedne przegrody dla koni mniejsze, a drugie większe wobec pobieranej jednakiej opłaty, nie od miejsca zajętego, lecz od konia, jak wskazuje odpowiedni punkt programu. Dlaczegóż jedni korzystali z umieszczenia swoich okazów tak, że stały bokiem i mogły być dobrze widziane, a inni (znaczna większość) musieli konie trzymać niemal ukryte w ciasnocie?

Ruch handlowy w dziale inwentarzy żywych podczas wystawy był dość znaczny: szczególnie obejmował on bydło i świnie, które niemal wszystkie sprzedano, o ile były zaofiarowane na sprzedaż. Płacono też ceny wysokie.

O konie mniej się dobijano. Kręcili się i kupcy niemieccy, lecz tylko jednego konia nabyli. Za to ze swej strony zrobili nam grzeczność, dostarczając na wystawę, naturalnie tylko dla sprzedaży, trzy przepyszne ogiery oldenburskie. Ani słowa, że były to konie i dobre i piękne, ale i ceny też ogromne: 2,000 rs. i dwa po 1,200 rs. To trochę za wiele na nasze amatorskie fantazyowanie w hodowli, choć może i taki nawet wydatek byłby usprawiedliwionym w skutkach, jako dający możność hodowania silniejszych i większych koni, niżli tutejsze dotychczasowe w rozmaitych kombinacyach ras. Hodowcy miejscowi powinni mieć przed oczami ciągle typ kawaleryjskiego i remontowego konia, który zawsze znajdzie chętnego nabywcę od 200 do 300 rs. i wyżej. Włościanie już to lepiej zrozumieli i dobijają się o dobre, rosłe reproduktory.

Oddział II składał się z jedynej grupy: mleka i jego przetworów. (Włościanie u-działu dotąd nie brali). Liczba uczestników, którzy dopiero na trzeciej wystawie po raz pierwszy się ukazują, stale stoi na jednej wysokości. Wszakże przypominam sobie, że się oni zmienili: wystawa w tym oddziale istotnie dała im rynki, więc mając zbyt zapewniony, ustąpili miejsca innym. Produkty okazowe są wogóle dobre, nagrodzono też wszystkie.

Pod adresem komitetu musimy tu przesłać pytanie: dlaczego nie postarano się o to, aby na wystawie w jednej całości połączyć produkty mleczne z narzędziami odpowiedniemi i machinami, dając współcześnie poglądowy obraz fabrykacyi? Dla niejednego lub niejednej mogłoby to być wyborną lekcyą.

W oddziale III (zboża, nasiona, jarzyny, chmiel) ogół okazów przedstawia się bardzo smutnie pod względem ilości i jakości. Nawet łagodna komisya ekspertów (przy bardzo powierzchownej ocenie) nie zdecydowała się na przyznanie najwyższej nagrody — medalu złotego.

Oddział IV najlepiej był reprezentowany w grupie owocarstwa, ogrodnictwa dekoracyjnego i owoców i warzyw suszonych, zupełnie jednak pozbawiony okazów w zasadniczych działach szkółek, szczepów i nasion.

Dodać tu musimy, że ogólnie biorąc, ogrodnictwo nie zdołało się dotychczas uwolnić od niszczycieli „sadowników,“ nie podejmując nawet na małą skalę handlowej strony przedsiębiorstwa na własne ryzyko. A jednak handel owocami (nie wyłączając i ananasów) dzięki bliskości Petersburga, może zapewnić pewne i znaczne zyski.

Pomijając inne, musimy dodać, że oddział VII w całości dobrze świadczy o znacznym postępie rzemieślników m. Wilna, mniej dodatnio — o prowincyonalnym drobnym przemyśle i rękodzielnictwie. W najważniejszej grupie fabrykacyi narzędzi rolniczych spotykamy tylko włościanina Kiborta, wystawiającego 4 pługi, nagrodzonego listem pochwalnym i 10 rublami, tudzież Mińskie Towarz. rolnicze, dające trochę wyrobów ślusarsko-kowalskich i narzędzi rolniczych z własnych warsztatów, nagrodzone potwierdzeniem wielkiego medalu srebrnego.

Do grubszych błędów ekspertyzy musimy zaliczyć zupełne pominięcie dwóch wystawców drobnych: p. Undrowicza — kominy przenośne, cegła i dachówki i p. Miodunieckiego — cegła i dachówka marsylska (felcowana), wówczas gdy względnie ani trochę nie lepsze okazy, w tej samej grupie wystawione przez księżnę Drucką-Lubecką, nagrodzono dyplomem na medal złoty. Do tej samej kategoryi zaliczyć musimy nagrodzenie owymi dyplomami wyrobów więźniów w Wilnie (a raczej p. kuratora). Okazy przedstawione są bardzo liche, a myśl zużycia pracy więźniów jest już nie nowa i w żadnym razie nie będąca własnością p. kuratora; niema tu więc miejsca nawet na nagrodzenie zacząłku dobrych chęci.

Pomimo zjazdu licznego, kupowano bardzo mało, lecz za to bawiono się świetnie po za obrębem wystawy. Mieliśmy koncerty wiedeńskiej orkiestry S. Straussa, St. Barcewicza, Gawrońskiego, Massimo-Massini, dwukrotne wyścigi naszych cyklistów, stały teatr zimowy (od 20 września), operetkę małoruską, wystawę malarską itp.

Prawie wszyscy byli zadowoleni, a komitet wystawowy może najwięcej, obliczając swoje 3,500 rs. zarobku. Musimy wszakże wypowiedzieć na przyszłość tylko jedno życzenie: abyśmy już nigdy tak wiele czystego zysku z wystawy nie mieli, aby komitet na przyszłość jak najwięcej oszczędził pracy sobie i p. Pieślakowi, powołując do urządzenia wystawy i ekspertyzy, przynajmniej w oddziałach głównijszych, ludzi więcej agronomicznie uzdolnionych.

Napoleon Rouba.

NOWE OLBRZYMY.

Powszechnym rozgłosem cieszą się wielkie magazyny paryskie, trudniące się sprzedażą towarów galanteryjnych oraz innych pokrewnych przedmiotów codziennego użytku. Inaczej z firmami, które zajmują się sprzedażą wiktuałów również na olbrzymią skalę. Niema tam wprawdzie „Louvre'ów,“ których roczny obrót wynosi około 150 milionów franków. Największy bowiem olbrzym z magazynów, sprzedających detalicznie środki spożywcze, otrzymał w ciągu roku brutto tylko 45 milionów. Różnica to bardzo znaczna, ale, bądź co bądź, nawet owe 45 milionów franków stanowią cyfrę bardzo pokaźną i interes w takich rozmiarach bezwarunkowo zasługuje na baczną uwagę ekonomistów, zarówno ze względu na mechanizm wewnętrzny, jako też z powodu wywołanego przewrotu w handlu wiktuałami. Nadto magazyny tej kategoryi, w porównaniu z olbrzymami w detalicznym handlu galanteryjnym, są wytworem względnie świeżym i nauka ekonomiczna nie zdołała przyjrzeć się im zblizka; jest ich przytem jeszcze niewiele, co także tłomaczy, dlaczego dotychczas nie zwrócono na nie należytej uwagi.

Późny względnie rozwój magazynów, sprzedających wiktuały, znajduje dostateczne wyjaśnienie w naturze produktu, którym one handlują. Tego rodzaju potrzeby ludzkie winny być zaspakajane z dnia na dzień przez kupno świeżych przedmiotów. Każdy nabywa je w pobliżu, chociaż trzeba tam zapłacić nieco drożej. Powtóre, wiele wiktuałów, w tej liczbie najważniejsze, mianowicie chleb, mięso i świeża ryba, stanowiące we Francyi połowę całego pożywienia, nie nadają się do przechowywania ani do wysyłki daleko w małych ilościach. Wyłuszczone okoliczności powstrzymują rozwój magazynów spożywczych; one to sprawiły, iż centralizacya handlu detalicznego w tej sferze wymiany opóźniła się o lat 40 w porównaniu ze sprzedażą galanteryjną.

Rozpatrzymy w pojedynczym przykładzie dziejeześrodkowywania sprzedaży wiktuałów, mianowicie w historyi firmy Potina w Paryżu. Ujrzymy tam ten sam obraz, jaki oglądalibyśmy przy rozbiorze czynników, zapewniających powodzenie „Louvre'owi“ i innym magazynom nowości. Pobudka wychodzi każdorazowo od chudopachołka, nieposiadającego kapitałów w kieszeni, ale mającego za to w głowie ideę, że oparłszy interes na dostarczaniu spożywcom dobrego towaru za możliwie niską cenę oraz na poprzestaniu na małym zysku, ściągnie on do siebie rzesze nabywców, następnie otrzymując drobne procentowo zarobki przy wielkim obrocie, dojdzie do fortuny.

Rozpoczął on swój proceder z kapitałem około 20 tys. fr. Od początku jasno i wyraźnie wziął on sobie za zasadę hasło: „ściągnijmy naprzód kupujących, zyski potem przyjdą samo przez się!“ Ofiarą tej maksymy w ciągu pierwszych sześciu lat

był prawie cały jego zysk; sprzedawał bowiem towary niemal za cenę kupna. Zyskiwał niewiele, ale za to wyrobił sobie imię rzetelnego i taniego kupca, tak iż gdy następnie przeniósł się do większego lokalu, miewał odrazu po trzy tysiące franków obrotu dziennego. Mawiał on także, że kupiec korzenny powinien być kucharzem i nawet chemikiem, tj. osobiście wyrabiać towary i przyprawiać je odpowiednio. To też w miarę wzrostu obrotów wytwarzał on we własnym zakładzie coraz nowe wiktuały — czekoladę, cukierki, konfitury, konserwy i sprzedawał je naturalnie taniej i w lepszym gatunku, aniżeli to mogli uczynić współzawodnicy. Wreszcie wybrał najpokupniejsze, mianowicie cukier, oliwę i kawę i oddawał je po cenie kosztów, ażeby tylko rozszerzyć koło kupujących. Wojna 1870 r. utrwaliła ostatecznie jego sławę. Gdy, po zwycięztwie pod Sedanem, prusacy ciągnęli na Paryż, kupcy miejscowi, korzystając z okoliczności, podnieśli ceny. Potin oparł się temu i odrzucił propozycye, czynione przez kogoś, odprzedania mu swoich zapasów po cenie dwa razy wyższej, aniżeli pobierał przy sprzedaży detalicznej. Wśród powszechnej drożyzny, ani na grosz nie podniósł ceny towarów. Ażeby zaś uniemożliwić przekupniom skorzystanie z okazyi, sprzedawał pojedynczemu nabywcy towar w ilościach, nieprzekraczających pewnej maksymalnej granicy. Tłumy zaczęły napływać do sklepu Potina. Oficyaliści i subjekci, wychodząc o 8-ej wieczorem, spotykali już osoby, które zajmowały miejsca, ażeby nazajutrz rano być pierwszemi w sklepie. Pod magazynem ciągnął się tak długi łancuch, iż stojący na końcu nie zawsze zdołali doczekać się swojej kolei, bo sklep zamykano o 3-ej po południu i brano się do odważenia porcyj na dzień następny. Zamiast dwóch milionów franków, które otrzymał w tym okresie ze sprzedaży, Potin mógł był zarobić 5, a nawet 6. Ale był on szczerym apostołem swojej idei: wolał zrzec się majątku, lecz za to stworzyć olbrzymie koło nabywców i wtedy powetować swoją powściągliwość. Wyrachowanie nie zawiodło go, chociaż nie wypadło mu oglądać rezultatów takiej taktyki, bo umarł w r. 1871. Znalazł następców w swoich zięciach, którzy zrozumieli myśl jego i poprowadzili dalej dzieło Potina. Obroty, które w r. 1869 nie przewyższały sześciu mil. fr., w r. 1880 doszły już 18 milionów, w 1887 podniosły się do 30, wreszcie w ostatnim roku czyniły 45 mil. Pochodzą one nietylko ze sprzedaży w samym sklepie, bo w sumie 45 mil. znajduje się 16 mil. za wiktuały, wysłane na prowincyę i za granicę Francyi.

Ogółem w magazynie Potina znajduje się około 2 tysięcy różnych rodzajów towaru, sprzedaż zaś dzienna wynosi średnio 20 tys. sprawunków. Firma daje zatrudnienie dwu tysiącom osób, oraz trzyma 250 koni. Koszty prowadzenia interesu pochłaniają zaledwie 5% z ogólnego obrotu, gdy w zakładach, posiadających średnie rozmiary, wynoszą one 8—10%, w mniejszych zaś przedsiębiorstwach 12 do 15%. Taka różnica w rozmiarach wydatków nieprodukcyjnych — *faux frais*, jak mówią ekonomiści francuscy — pochodzi z ześrodkowania sprzedaży i jest wynikiem zrzeszenia zabiegów. Wielkie magazyny, które skutkiem swojego mechanizmu ułatwiają podobnego rodzaju oszczędności, tem samem mogą taniej sprzedawać, niż mniejsi rywale, bez uszczerbku dla siebie.

Sklep taki stanowi tylko część frontową, za którą ukrywa się mnóstwo zakładu. Kiedy Louvre i inne magazyny galanteryjne w porównaniu z drobnymi odznaczają się bardzo niewielkimi zapasami towarów na składzie, to w sferze handlu detalicznego wiktuałami rzeczy stoją zgoła odwrotnie. Kupczyna, który sprzedaje nabiał, mąkę lub konserwy, stara się posiadać jak najmniej zapasów, w obawie, aby nie uległy zepsuciu. Nabywa więc u hurtowników drobnemi cząstkami i przepłaca towar. Potin wybił się, ponieważ przekształcił swoje przedsiębiorstwo na proceder, pochłaniający olbrzymie kapitały. Obliczają, że około 10 mil. franków spoczywa tam każdorazowo pod postacią win, czekolady itp. Nie poprzestał na tem, bo stał się on wytwórcą wiktuałów na wielką skalę. Firma jego posiada w Algierze, Tunisie i na południu Francyi własne winnice, w Epernay wytłocznię jagód winnych i fabrykę win szampańskich; w Miranon śliwek, których sprzedaje rocznie około 900 tys. kilogr. W Pantin magazyn posiada szereg zakładów; są tam dystylarnie, wyrabiające najrozmaitsze trunki, od wina, którego butelka kosztuje 1,75 fr., aż do gatunków w cenie 30 i więcej franków. Jest fabryka perfum, obok zaś—syropów i konfitur, które z dnia na dzień są świeżo robione dzięki umiejętnemu przechowywaniu owoców. W Vilette możemy obejrzeć inny szereg zakładów: jedne wyrabiają pasztety, inne — biszkopty angielskie i francuskie, jeszcze inne — czekoladę i cukry (osmażanych migdałów własnego wyrobu firma Potina sprzedaje rocznie 100 tysięcy kilogramów), konserwy itd.

Słowem, pospołu z ześrodkowaniem sprzedaży idzie centralizacya produkcyi i umożliwia zastosowanie lepszych metod do wyrobu odpowiednich przedmiotów. „Wchodzimy do warsztatu, gdzie rżną cukier na kawałki — opowiada d'Avenel. Obłok białego pyłu otacza nas i oślepia. Cukier osiada na naszych włosach, pokrywa ubranie i zatyka pory ciała. Oddychamy nim i jemy go wbrew swojej woli. Ażeby go nie brać z sobą we włosach, kobiety noszą zawoje z płótna. Mechaniczny elewator chwyta głowy cukru jednę po drugiej. Piły, poruszane parą, w oka mgnieniu tną ją na okrągłe deszczułki, które przesuwają się pod rzędem nożów mechanicznych i przybierają formę podłużnych równoległościanów; to zaś za pomocą trzeciego aparatu zamieniają się na prawidłowe sześciany." (Sprzedaż cukru na głowy prawie ustała; na 20,000 tysięcy kilogramów, sprzedawanych dziennie przez Potina w postaci prawidłowych kawałków, wypada tylko 400—500 kilogr. nierąbanego). W zakładzie, wyrabiającym czekoladę, wytwarzają codziennie 6—7 tysięcy kilogramów tego towaru; w fabryce konserw, zatem korniszonów, musztardy, groszków itd., rocznie napełniają 700 tys. puszek. Wszędzie zaprowadzono ulepszenia techniczne i zastosowano automaty. Firma Potina jest istotną rewolucyonistką, wprowadzającą przewrót do produkcyi środków spożywczych. W parze zaś z centralizacyą idzie kontrola nad gatunkiem i smakiem produktów. Potin dotrzymał słowa. Obiecał, że będzie nietylko kupcem, lecz równie kucharzem i chemikiem. Przy zakładach jego istnieją płatni chemicy, których obowiązki polegają na wypróbowaniu każdego materyału surowego, dostającego się do fabryk, są także gastronomowie-kucharze, którzy znowu winni wypróbować smak każdego z wyrabianych tam specyałów. Genialny umysł Fouriera przepowiedział tę chwilę. Smakoszostwo—wyrzekł on—tylko dlatego jest tak pogardzane, że w drobnej produkcyi domowej niema miejsca dla tej namiętności, ale tam, gdzie będą wyrabiali produkty na wielką skalę, gastronom stanie się postacią pożyteczną dla ogółu i powszechnie za to szanowaną. W fabrykach Potina znalazło się miejsce nawet dla artystów, którzy rzeźbią wzory dla tabliczek czekolady, cukrów i innych przysmaków.

G. d'Avenel, z którego pracy *) zaczerpnęliśmy szczegóły o firmie Potina, poprzestaje jedynie na wzorach francuskich. To też, po za opisem tego magazynu, nie znajdujemy u niego zbyt obfitych danych. Wspomina on jeszcze o wędliniarni Olereta, która sprzedaje rocznie różnej postaci kiełbas za 3 miliony fr., następnie o towarzystwie spożywczem robotników paryskich, Moissoneuse, liczącem obecnie przeszło 15,000 członków, czyli 60,000 osób. Spożywcy czynią tam rocznie około 7 mil. sprawunków. Stowarzyszenie posiada dwie własne piekarnie, mogące służyć za wzór postępu technicznego. Avenel, poprzestając na Francyi, tem samem bardzo uszczuplił zakres swojej pracy.

Tak wyglądają pierwsze kroki w kierunku stworzenia olbrzymiej centralizacyi w handlu detalicznym wiktuałami. Mimowoli nastręcza się pytanie, czy te próby oddziałały już na ogół stosunków i do jakiego stopnia?

„Co znaczą — pyta d'Avenel — te 45 mil. franków w porównaniu z 4½ miliardami — wartością corocznego spożycia Francyi? Cyfry te świadczą, że drobni sklepikarze nie mogą utyskiwać na rodzący się monopol, ani wołać o pomoc. Najważniejszym produktem, sprzedawanym w firmie Potina, jest cukier. Roczny obrót tego towaru wynosi 6 mil. fr., Francya zaś spożywa go za 400 milionów. Wypija ona wina za 900 mil., Potin zaś sprzedaje go tylko za 5. Ale chociaż on, a za nim pewna liczba wielkich składów, naśladują jego przykład, nie przeszkadzają sklepikarzowi sprzedawać i prowadzić dotychczasowego procederu, to przecież zmuszają go do takiej sprzedaży. Za pomocą katalogów, rozrzucanych po całym kraju, ustanowili oni taksę, która reguluje cenę towarów, służy za skalę w handlu detalicznym i sprawia, że do ceny kupna sprzedawca dodaje umiarkowaną nadwyżkę. Potin przyczynił się do powstania na prowincyi 160 sklepów, które zależą wprost od niego, bo nabywają w jego magazynach część towarów i rozprzestrzeniają w najodleglejszych miastach duch nowy. Ich zasługi możemy mierzyć zawiścią ze strony współzawodników w stolicach naszych departamentów. Walka jest ciężką. Ale ponieważ uczniowie nie przeniewierzają się zasadom mistrza w Paryżu, u którego większość terminowała, sprzedają dobry towar za niską cenę, przeto zwycięztwo ich stanowi jedynie kwestyę czasu." Podobnie też oddziałała Moissoneuse w zakresie pieczywa. W dzielnicach „zewnętrznych" Paryża, w których rozwinęła swoją działalność, sprawiła powszechną zniżkę cen chleba, dochodzącą do 25% dawnego poziomu.

Krok pierwszy bywa najtrudniejszy. Rutyna zawsze niedowierza nowym wzorom. Nie ulega wątpliwości, że Potin znajdzie licznych naśladowców i że firma jego rozszerzy sferę swojej działalności. Wraz z tem najoporniejszą dziedzinę pracy ludzkiej porwie duch przewrotu.

J. Wojewódzki.

*) „Le Mecanisme de la vie moderne." *Revue des deux mondes.*

W SEKCYI ROLNEJ.

Środek pedagogiczny i uprzejmość pana Jeziorańskiego. — Wykład p. E. Jankowskiego o nawożeniu drzew owocowych. — Spółka owocarska. — P. Gradewic o uprawie nowych gatunków nasion. — Handel mięsem przy pośrednictwie magistratu. — Jarmarki stałe na inwentarz zarodowy.

O ile wiem, sekcya rolna służy dla rozstrzygania wszelkich spraw żywotnych, dotyczących naszych ziemian; dla wprowadzania na porządek dzienny zagadnień, które dałyby powód do rozpraw i wyświetliłyby wiele zjawisk ważniejszych; wreszcie dla podejmowania różnych zabiegów, starań około naprawy

warunków bytu, wprowadzania wniosków i postanowień do czynu za pomocą odpowiednich organizacyj dorywczych i stałych. Trochę inaczej prawdopodobnie pojmuje to zadanie gospodarz sekcyi, p. radca Jezierański. Przedewszystkiem stara się ćwiczyć cierpliwość członków, tj. każe im słuchać sprawozdań suchych, oderwanych, niemających nic wspólnego z rolnictwem tutejszem. Zapewne — cierpliwość jest wielką cnotą, ale umiejętność oszczędzania czasu bodaj jeszcze większą, zwłaszcza w wieku niniejszym. Rolnicy przybywają z różnych okolic kraju raz na miesiąc po to, żeby jakąś korzyść dla siebie wynieść z sali posiedzeń. Zamiast tego, połowę wieczoru wypełnia referat, opisujący wozy, inwentarz, akuszerki, parobków i zwyczaje w jakimś dalekim zakątku na kilku folwarkach. W rezultacie sprawy ważniejsze i pilno trzeba skracać, nie wyczerpawszy ich całkowicie. Rozumiem uprzejmość p. Jeziorańskiego dla kółka ulubieńców, ale nie pojmuję poświęcania dla niej dobra rolnictwa.

Poprawił sprawę w dalszym ciągu ciekawym i pożytecznym wykładem p. Edmund Jankowski o nawożeniu drzew owocowych. Mówca dowodzi, że wszelkie pasorzyty są objawem zaniedbania sadów; opadanie zaś kwiatów, zawiązków, owoców przedwcześnie i szczególnie w latach suchych — rezultatem złego żywienia. W ogrodach warszawskich i okolicznych, gdzie jest większa w tej mierze staranność, owoców opadło zaledwie 5—[illegible] to w sierpniu, podczas wielkiej suszy, kiedy panowały dość silne wichry. W tych samych ogrodach faktycznie nieurodzaju niema, bez względu na mniej lub więcej pomyślny rok. Cała tajemnica mieści się w glebie dobrze zasilanej, co jest również przyczyną, że owoce są słodsze i aromatyczniejsze. Prelegent zaznaczył bardzo ważne spostrzeżenie: gdzie są uprawiane odmiany podobne. lub jedne. te same, tam pomimo staranności wydajność i płody coraz są lichsze. Należy więc możliwie najbardziej urozmaicać odmiany, za przykład zaś może posłużyć w tym względzie ogród pomologiczny w Warszawie, w którym nie było nigdy nieurodzaju, dzięki owej różnorodności. Bardzo ważnym warunkiem jest zasilanie gruntu. Pierwsze wskazówki dał Wagner, który głównie zalecał kainit i saletrę. Środki te istotnie są dobre a nawet tanie w stosunku do obornika, którego trzeba byłoby dawać po 60 kilogramów pod każde drzewo owocowe. Są dwa sposoby zasilania mineralnego: na sucho lub w postaci tak zwanej „polewki." Drugi środek uważany jest za lepszy, a zadaje się drzewom w ciągu lata, zaczynając od drugiej połowy sierpnia, przez wrzesień, październik do listopada. W tym celu za pomocą świdra należy wiercić otwory i nalewać odmierzoną ilość cieczy. Trzeba przytem pamiętać, że korzenie, ciągnące soki, rozchodzą się bardzo daleko, często drogami ułatwionemi przez krety i dżdżowniki. Drzewo, jak organizm ludzki, najwięcej będzie miało sił żywotnych, gdy się je wyposaży za młodu, tj. przy sadzeniu, za pomocą należytego zaprawienia dołu. Wytrawni ogrodnicy, oceniając znaczenie rozrostu korzeni, sami odrazu ułatwiają im drogi. Amerykanie poruszają w tym celu ziemię dynamitem. Są atoli środki mniej niebezpieczne, lecz również praktyczne.

Wykład p. Jankowskiego wywołał żywe rozprawy i wyjaśnienia bardzo korzystne. Tak np. p. Kowalski nadmienił, że z wielkiem powodzeniem używa do zasilania drzew owocowych wapna i strączyn łubinowych. Przy tej sposobności wyraził prelegentowi bardzo trudne żądanie: „Nauczyłeś nas pan ogrodnictwa, naucz-że teraz sprzedawać owoce!" Temat żywotny, który p. Jankowski chętnie przyrzekł rozwinąć na jednem z przyszłych posiedzeń.

Nie wiemy, z jaką radą przyjdzie p. Jankowski; to tylko zaznaczyć musimy, że z pomocą całemu krajowi w zakresie pośrednictwa powinno wystąpić Towarzystwo ogrodnicze, że przy jego zabiegach należałoby jak najprędzej doprowadzić do skutku ponowną spółkę owocarską. Myśl podobno się zrodziła podczas tegorocznej wystawy w Bagateli. Właściciele sadów zapragnęli takiego związku na odmiennych zasadach, niż dawniej, mianowicie chcą zebrać kapitał w sumie przynajmniej 30,000 rs. w celu zadzierżawiania ogrodów i zakładania hurtowych składów w Warszawie, Łodzi, tudzież innych większych miastach Królestwa Polskiego. Wszak ma być w tym przedmiocie opracowany dokładny projekt i złożony Towarzystwu ogrodniczemu do rozpatrzenia i poparcia?

P. Gradenwic poruszył również ważną kwestyę uprawy nasion i zaznaczył znamienny u nas objaw nadprodukcyi, szczególnie nasion chmielu i buraków cukrowych, przy nadmiernym dowozie tych przedmiotów z zagranicy. Tylko cykorya nie ma silnego współzawodnictwa. Otóż wobec tego mówca zaleca uprawę kilkunastu gatunków traw, których nasiona znalazłyby wielki zbyt za granicą. Zachodzą tylko dwie przeszkody: że nie mamy ani praktycznego doświadczenia w tej mierze, ani teoretycznych wskazówek i że — jak wyjaśnił w dyskusyi p. Sempołowski — uprawa większości traw zalecanych jest nadzwyczaj trudna. Nawet specyaliści wytrawni hodują je w szkółkach odpowiednich. Nie idzie wszakże za tem, żeby zaniechać nowej gałęzi gospodarki, która istotnie może kiedyś przynieść korzyść. Należy tylko rozpocząć na małą skalę i wybrać przytem gatunki mniej wybredne co do kultury. Zawiązawszy zaś w przyszłości stosunki handlowe z zagranicą, trzeba pamiętać o jednym, bardzo ważnym warunku: czystości. Pierwszy transport nasion, pomieszanych przypadkowo z innemi, może raz na zawsze zamknąć naszym wytwórcom drogę na rynki obce.

Handel mięsem wyszedł znowu na porządek dzienny, tym razem z magistratu, który zaproponował wybór z sekcyi rolnej trzech członków do delegacyi osobnej, która ma pracować nad stworzeniem środków zapobiegających monopolowi. (Powołano również do pomocy kilku członków sekcyi handlowej i rzemieślniczej). Dziś aferzyści w tym zakresie, stanowiący potęgę, z jednej tylko Warszawy czerpią rocznego dochodu *piętnaście milionów* rs. Chodzi więc o to, ażeby hodowców bydła rzeźnego zbliżyć bezpośrednio do spożywców. Dodajmy, że jeżeli chodzi o hodowców, to trzeba ich przedewszystkiem stworzyć. O tej sprawie dużo mówiono w sezonie przeszłym, nawet omal nie powstała spółka akcyjna, ale zabrakło akcyonaryuszów, środków i przygotowania odpowiedniego. Obecna delegacya magistratu jest krokiem nowym, skierowanym na tory nieco odmienne. Tem baczniej będziemy się przyglądać owym zabiegom. P. Kiślański prezes oddziału, obecny na posiedzeniu, bardzo gorąco zachęcał rolników, do współdziałania i przewidując możliwość utworzenia w przyszłości spółki, całkiem słusznie twierdził, że dopiero wtedy będzie ona miała powodzenie i zyska mocne podstawy, gdy wezmą udział nie tylko ziemianie w ściśłem znaczeniu, lecz także właściciele cukrowni i wielkich gorzelni. Właśnie w tym duchu już nieraz przemawialiśmy, kładąc nacisk na to, że takie gromadne przedsięwzięcie rolników będzie miało istotną siłę, gdy je wzmocnią żywioły dzielniejsze pod względem rzutkości, energii i środków materyalnych.

W związku z powyższą sprawą jest hodowla bydła zarodowego w kraju. Zbieraniem odpowiednich danych zajmował się dr. M. Dobrski i p. Kazimierz Laskowski ale skąpe odpowiedzi nie dały wyczerpującego materyału. Wiadomo tylko, że obór zarodowych jest mało, a i to, które istniały w lepszym stanie, słabo są popierane. Dawniej skutecznym bodźcem były wystawy, dla których prowadzono odpowiednią hodowlę; upadła ona, gdy te wystawy zniknęły. Wskrzeszenie zaś ich pociągnęłoby znaczne koszty, ze względu, że trzeba budynki tymczasowe wznosić i następnie je rozbierać. Otóż postanowiono stworzyć w Warszawie stałe jarmarki na inwentarz zarodowy. W tym celu istnieje osobna delegacya, posiadająca do rozporządzenia 20,000 rs. Najważniejszą atoli przeszkodą dotąd jest brak placu odpowiedniego. Upatrzono jeden z nich po za Łazienkami, należący do ministeryum Dworu i rozpoczęto układy. Interesowani chcą wznieść własnym kosztem zabudowania, urządzić park i to wszystko zwrócić ministeryum po 12 latach. Dotychczas wszakże niema odpowiedzi stanowczej. Jarmarki takie będą miały istotnie ważne znaczenie, jako główny czynnik w rozwoju hodowli bydła, więc nie należy sprawy zaniedbywać.

Przepisy o rybołóstwie są już opracowane przez ministeryum dóbr państwa i mają na celu głównie przeciwdziałanie gospodarstwu rabunkowemu. Według przepisów tych, wszystkie wody rozdzielają się na zakryte i otwarte. Samowolny połów ryb w wodach pierwszej kategoryi karany będzie na równi ze złodziejstwem; toż samo stosuje się do wypadków wybierania ryb z zastawionych przez kogo innego przyrządów. Na prawo połowu w cudzych wodach należy pozyskać stosowne świadectwo od właścicieli, którzy mogą starać się o przyznanie wód tych szczególnie zdatnemi do rozpłodu cenniejszych gatunków ryb. W miejscowościach takich wzbroniony będzie nietylko połów, lecz nawet wydobywanie piasku, kamieni i t. p. Z wprowadzeniem w wykonanie przepisów utworzone będą posady inspektorów rybołóstwa, których obowiązkiem ma być przestrzeganie przepisów, gromadzenie szczegółów statystycznych o przemyśle danego okręgu, niesienie pomocy w sprawach dotyczących jego rozwoju i t. p. Wszystkich okręgów w państwie ma być 9. Za niestosowanie się do przepisów, wymierzane będą kary. Odkrywający nadużycie otrzymywać będzie 40% grzywny, nałożonej na przestępcę.

— W Baku na gruntach Mantaszewa wytrysnęła fontanna, dająca 300,000 pudów nafty dziennie.

— Ministeryum rolnictwa wystąpiło do Rady państwa z przedstawieniem o udzielenie 100,000 rs. na zakładanie pól i stacyj doświadczalnych w wielu miejscowościach państwa, między innemi i w Królestwie Polskiem.

— W Poznaniu powstało „Towarzystwo ku podniesieniu rzemiosła i rolnictwa pomiędzy żydami." Zadaniem jego jest popierać niezamożnych, poświęcających się rolnictwu, rzemiosłu i zawodom technicznym, tudzież pomagać materyalnie uczniom i czeladnikom rzemieślniczym, wreszcie rolnikom, mającym chęć do nabywania osad rentowych.

— Poruszono sprawę utworzenia banku wkładowo-pożyczkowego dla pracowników rządowych i prywatnych, z filiami we wszystkich większych miastach.

KRONIKA.

Sprawy społeczne. W Tarnopolu wzniesiono pomnik Mickiewicza, dłuta Dykasa.

— We Lwowie odbyły się obrady delegatów związku stowarzyszeń zarobkowych i gospodarczych pod przewodnictwem posła Szczepanowskiego. Udziały członków wynoszą obecnie w stowarzyszeniach kredytowych 6,861,460 złr., a w innych kategoryach 544,876 złr. Wzrosły ogółem o 806,301 złr. Fundusz rezerwowy w stowarzyszeniach kredyt. 1,773,219, w innych 45,505; wzrósł ogółem o 195,555 złr. Kapitał własny stowarzyszeń kredytowych wynosi złr. 8,634,680, innych — 590.381. Ogółem należy do związku 135 stowarzyszeń zarobkowych.

— W Zloczowie skazano żydówkę Auerbachową na dwa miesiące ścisłego aresztu i 600 złr. grzywny, a jej męża, Samuela, na sześć tygodni ścisłego aresztu i 500 złr. grzywny za działalność lichwiarską. Małżeństwo to w samym Zloczowie posiada 84 domy, nabyte przez licytacye, wywołane pożyczkami.

— Towarzystwo wolno-ekonomiczne w Petersburgu postanowiło starać się o zniesienie kary cielesnej dla włościan.

Szkoły. Ministeryum oświaty stara się o uzyskanie kredytu 40,000 rs. na otwarcie różnych szkól rzemieślniczych.

— Wpisy tegoroczne do gimnazyów galicyjskich wykazały ogólną liczbę 13,965 uczniów (o 730 więcej, niż w r. z.).

— W szkole malarskiej p. B. Wiesiolowskiej w Warszawie rozpoczęły się wykłady rysunku technicznego dla kobiet. Kurs obejmuje: konstrukcyę, budownictwo, perspektywę, historyę sztuki i stylów, budownictwo cywilne, szczegóły architektoniczne itd.

— Przy Towarzystwie muzycznem w Warszawie otwarto klasę gry na organach.

— Według *Rusk. bogactwa*, jedna szkoła męzka ministeryum oświaty przypada: w Rosyi europejskiej na 343,000 ludności, w Królestwie Polskiem na 270,000, w prowincyach nadbałtyckich na 133,000.

— Według *Now. Wr.*, ministeryum oświaty stara się o kredyt w sumie 230,000 rs. na potrzeby wykształcenia elementarnego w Królestwie Polskiem.

Zdrowie publiczne. Lekarze warszawscy postanowili otworzyć nowy zakład leczniczy chirurgiczny, według najnowszych wskazówek nauki.

— W Maroku szerzy się cholera śród żydów i mau-[illegible].

— W osadzie Bieżuń, gub. płockiej, potrzebny jest lekarz. Wiadomości dokładnych udziela aptekarz miejscowy, p. Raniecki.

— Z powodu zapowiedzianego zjazdu syfilidologów w Petersburgu, przy urzędzie lekarskim w Warszawie utworzono osobną komisyę, złożoną z lekarzy-specyalistów i kilku członków władzy policyjnej, w celu rozpatrzenia środków walki z syfilisem i wogóle chorobami wenerycznemi w Warszawie.

— W seminaryum duchownem katolickiem w Warszawie wprowadzono gimnastykę, w ścisłem zastosowaniu do hygieny.

Koleje i komunikacye. Dystans Omsk, prawy Irtysz Kriwoszczekowo, lewy Ob' kolei Zachodnio Syberyjskiej, otwarto dla tymczasowego ruchu i przewozu podróżnych.

— Żeglugę na rzekach Syberyi zachodniej zawie-[illegible].

— Rozszerzono przedsiębiorstwo kolei Kijowsko-Woroneskiej i nadano jej nazwę Moskiewsko-Woronesko-Kijowskiej.

Wypadki. W wielu miejscowościach Styryi dało się uczuć trzęsienie ziemi. Ściany domów popękały.

— Orkan zniszczył stolicę Niższej Kalifornii, La Paz. Tak brzmi depesza *Kuryera warsz.* Być może, rozmiary katastrofy w doniesieniu rosną w stosunku do przestrzeni między Ameryką a Europą.

Zmarli. Dr. Leon Konitz, w Warszawie, jeden z najznakomitszych lekarzy naszego miasta i jeden z najzacniejszych ludzi. Chociaż w ostatnich latach wycofał się z praktyki, nie przestał doznawać serdecznego szacunku od wszystkich, którzy go bliżej znali, i równie serdecznej wdzięczności od tych, którzy mu winni byli zdrowie, życie, a przytem dziwnie poczciwą życzliwość. Śmierć też jego, chociaż późnym wiekiem przygotowana, obudziła głęboki i szczery żal w sercach licznego zastępu przyjaciół i czcicieli nieboszczyka. Bodajby wspomnienie o nim miało moc przykładu.

— Hipolit br. Larrey, w Paryżu, znany chirurg, autor prac specyalnych.

OGŁOSZENIA.

Redaktor i Wydawca dr. fil. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою, Варшава 6 Октября 1895 г. Druk K. Kowalewskiego, W[illegible], ul. Mazowiecka, Nr. 8.